

wadził do strajku 30 tysięcy włóknarzy petersburskich, robotnicy wileńscy powitali ów strajk listem, który kończy się słowami: „Pozdrawiamy Was, nasi drodzy bracia, wieszając Wam zwycięstwa, które jest zarazem naszym zwycięstwem”.

Świadomość rewolucyjna Dzierżyńskiego zaczęła się w tych latach kształtować. Jego życie i walka na zawsze pozostaną związane ze wspólną sprawą dwóch narodów — rosyjskiego i polskiego — których przyszłą wolność widział od początku w solidarnej, nierozdzielnej więzi łączącej rosyjską i polską klasę robotniczą. Był patriotą i internacjonalistą; te dwa pojęcia, w których burżuazja dopatrywała się sprzeczności, rosły się w życiu Feliksa Dzierżyńskiego w organiczną jedność działania, myśli i uczuć. Dzieje polskich jakobinów i komunistów, dla których wolność ojczyzny nie mogła się dokonać inaczej, jak przez wyzwolenie ludów Europy — nie były skończone. Młode pokolenie rewolucjonistów polskich, przeniknięte ideą socjalizmu i wyrosłe w dniach walki Wielkiego Proletariatu, zwraca spojrzenie ku ziemiom rosyjskim, gdzie w ciężkich zmaganiach klasy robotniczej z caratem rodziła się przyszła wolność narodów.

W r. 1898 odbył się w Mińsku I Zjazd Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji. Prawicowe elementy litewskiej socjaldemokracji wystąpiły przeciw uczestnictwu partii w tym zjeździe. Dzierżyński w swym liście pisanym w więzieniu ostro napiętnował to stanowisko. W tym samym roku na mocy rozporządzenia ministra sprawiedliwości zostaje zesłany na 3 lata do gubernii wiatkiej. Tam zetknął się po raz pierwszy z rosyjskimi rewolucjonistami.

Dopiero w 8 lat później, w kwietniu 1906, Dzierżyński jako przedstawiciel SDKPiL uczestniczy w IV Zjeździe SDPRR i wchodzi z ramienia swej partii do Komitetu Centralnego. Na tymże zjeździe poznaje Lenina i Stalina. W walce toczącej się w łonie SDPRR opowiada się stanowczo po stronie bolszewików. Od sierpnia do października 1906 przebywa w Petersburgu. Z ramienia SDKPiL bierze udział w posiedzeniach Komitetu Centralnego SDPRR. W swych wystąpieniach piętnuje mienszewików. W grudniu tego roku wraca do Warszawy i po paru tygodniach wpada w zasadzkę carskiej żandarmierii. W maju 1907, na V Zjeździe SDPRR, większość bolszewicka wybiera go zaoonnie do Komitetu Centralnego. W szeregu wielkich bojowników polskich o wolność jest pierwszym bolszewikiem.

IV

„Widzę te masy ogromne, które już się poruszyły, podważyły stare gmachy, masy, w których łonie przygotowują się nowe siły dla nowych walk; dumny jestem, że jestem z nimi, że je widzę, czuję, rozumiem — i że sam przeciwierpiałem wiele z nimi razem. Tu, w więzieniu, źle jest, nierzadko bywa strasznie. A jednak... Gdybym na nowo miał rozpocząć życie, rozpocząłbym tak samo: nie jest to nakaz obowiązku, lecz mój organiczny”.

Jeżeli dziś piszemy i mówimy o „romantyzmie rewolucyjnym”, nie jest to zwrot retoryczny. Wyżej przytoczone zdania to urywek z pamiętnika Dzierżyńskiego, pisanego w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej w r. 1908-9. Pamiętnik ten pozostanie bez wątpliwości jednym z najprawdziwszych świadectw wielkości ludzkiej. Skupia on w sobie wiele zjawisk i cech, obrazujących narodową i internacjonalistyczną treść polskiej walki rewolucyjnej, ukazuje również jej głęboko humanistyczny nurt.

Dzierżyński spisywał swe notatki z dnia na dzień, w ciągu prawie półtora roku więziennego życia. Powie-rzał im swe myśli i pragnienia, które w dniach izolacji przyplwały do niego wezbrana, burzliwa fala. Ukazał w nich szereg postaci uwiecznionych działaczy różnych odłamów politycznych, od SDKPiL-owców po anarchistów, Polaków i Rosjan, robotników, żołnierzy, inteligentów; nie pominął żadnego fragmentu więziennych egzystencji: typy prowokatorów i szpicłów, echa nocnych egzekucji, słowa pożegnań przed stracaniem, twarze żandarmów i zdrajców, listy towarzyszy z sąsiednich cel — wszystko to tworzy przejmującą kronikę codziennego życia w „martwym domu”, notowaną z perspektywy więziennych izolacji.

Z kilkudziesięciu kartek tego pamiętnika bije siła uczuć, wobec której błędna literackie wyznania epoki. Wyłania się z nich postać ludzka, obdarzona cechami bohatera

rów najbardziej heroicznych powieści i zdolnością cierpienia za cudzy los tak głęboka, a jednocześnie tak opanowana, że nie jeden raz nasuwa się myśl, czy słów tych nie napisał wielki znawca duszy, badacz ludzkiej niedoli świadomy gorzkich praw życia...

Konspiracyjny byt, niezmordowana harówka organizatora, trud codziennej, zjadawiej agitacji nie tylko nie stępiły jego młodzieńczej wrażliwości i zdolności współcierpienia z pokrzywdzonymi, ale wykłuły w sercu „Józefa” twardą wiedzę o przyczynach krzywdy. Pamiętnik jest oskarżeniem — namietnym i gniewnym, mimo pozornej suchości. Niewiele znamy dzieł czy dokumentów, z których bije równie nieugięta nienawiść i pogarda, współczucie i miłość. Współczucie dla złej ludzkiej doli, nienawiść do świata, który był jej sprawcą.

„Ja wyjdę, a to życie okropne dalej snuć się będzie. Dziwne i takie dla mnie niezrozumiałe... Tu odczuł mi, czym jest człowiek dla człowieka, jako jest konieczna potrzeba. Stosunki ludzkie nie są proste, a z uczuć zrobiono własność wybranych tylko — wbrew potrzebom człowieka. I jeżeli tu tęsknimy za kwiatami, to nauczyliśmy się ludzi tak samo jak kwiaty kochać... I dlatego kochamy miejsce kaźni naszej, bo walka, która nas tu doprowadziła, staje się widoczną także jako walka o szczęście nasze osobiste, o wyzwolenie się z narzuconej nam przemocy i kaźni duszy”.

Są to ostatnie zdania pamiętnika, zanotowane pod datą 8 sierpnia 1909 r. W dwa tygodnie później, 21 sierpnia, Dzierżyński zostaje skazany na wieczne osiedlenie na Syberii. Młody wódz polskiej rewolucji po raz trzeci wyrusza szlakiem dekabrystów i proletariatchyków. Wśród dziesiątków pism, przemówień i odezw, napisanych i wygłoszonych w mozołe codziennej walki, pozostaną przykuwające proste słowa, zanotowane w więziennym pamiętniku: „Tu odczuł mi, czym jest człowiek dla człowieka, jako jest konieczna potrzeba...”

V

Mężczyzna w aresztanckiej czapce, który w dniach lutowych 1917 roku zjawił się w Komitecie Moskiewskim partii bolszewików, nie był nieznanym przybyszem. Imię Dzierżyńskiego było dla leninowców równoznaczne z awangardą polskiej rewolucji, z bohaterскими walkami łódzkiego proletariatu w czerwcowym tygodniu 1905 r., którym złożył hołd Włodzimierz Ilijcz; z nieubłaganą wreszcie czujnością wobec wszelkich skażeń, jakie zagroziły rewolucyjnej partii robotniczej. Dzierżyński miał za sobą walkę z polskim mienszewizmem i pepesowskim socjal-nacjonalizmem; w ciągu dwudziestu lat swej pracy rewolucyjnej zwrócił się z klasą robotniczą, zdobył jej miłość, porwał za sobą najlepszą część jej młodzieży; jego nieustraszona odwaga w akcji, żelazna wytrwałość organizatora, brak potrzeb osobistych i nieugięty hart w najcięższych dniach izolacji — stały się legendarne. Skazany przez sąd moskiewski na 6 lat katorgi, po krótkim okresie wolności w latach 1910 — 12, w lutym 1917 wychodzi z więzienia butyrskiego na ulice Moskwy. Jest jednym z polskich rewolucjonistów, którym carat poprzez etapy i więzienia wymościł drogę do proletariackiej rewolucji. Staje się jednym z jej wodzów. Oddaje wszystkie swoje siły walce o pierwsze socjalistyczne państwo świata; w nim i tylko w nim widzi sojusznika wolności polskiego ludu, którego sprawie pozostanie wierny do końca.

Odtąd życie Feliksa Dzierżyńskiego wiąże się ściśle z obroną rewolucji i władzy Rad. Na VI Zjeździe zostaje powołany do Komitetu Centralnego partii bolszewickiej, zwalczając kapitulancie próby opozycji wewnątrzpartyjnej, bierze udział w przygotowaniu zbrojnych dni Wielkiego Października, wchodzi do kierownictwa Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego przy Radzie Piotrogrodzkiej.

W dniu zwycięstwa, gdy II Wszechrosyjski Zjazd Rad proklamował ogłoszenie władzy radzieckiej, na trybunie zjawia się Dzierżyński Sala Smolnego, wypełniona po brzegi robotniczo — żołnierskim tłumem, słyszy charakterystyczny, wysoki głos towarzysza Józefa, znany od lat włóknarzom łódzkim i górnikom Zagłębia Dąbrowskiego:

„Triumf socjalizmu stworzy wyzwoloną Polskę jako wolną wśród wolnych, równą wśród równych, w braterskiej rodzinie wspierających się nawzajem ludów”.

Kazimierz Brandys

BRONISŁAW TROŃSKI

Bohater Października i budowniczy socjalizmu

N

AROD polski jest dumny, że jego wielki syn Feliks Dzierżyński oddał cały swój płomienny zapał i wspaniały talent Rewolucji Październikowej, która zapoczątkowała socjalistyczną epokę w historii świata. Będziemy się zawsze szczyć tym, że Dzierżyński oddał wszystkie swe siły walce z kontrrewolucją w obronie zwycięstw Października, że oddał całą swą energię budowie socjalizmu, uczestnicząc w wykuwaniu tych zasad, które dziś pozwalają nam iść fundamenty gospodarki socjalistycznej w naszej ojczyźnie.

Nie było prorocstwem, kiedy Dzierżyński powiedział współtowarzyszom butyrskiego więzienia w Moskwie: „Przekonany jestem, że rewolucja zwycięży za rok”. Była to umiejętność przewidywania marksyści, wielkiego przywódcy, bohatera wojennego i genialnego organizatora, związanego na śmierć i życie z ideą i walką epoki proletariackiej.

Nadszedł luty 1917 r. Wybuch rewolucji burżuazyjno — demokratycznej w Rosji. Otworzyły się wrota więzienia, skruszone zostały kajdany skuwające wiernego syna proletariatu. I oto Dzierżyński mimo choroby i wycieńczenia spełnia swój obowiązek patrioty i internacjonalisty — staje do dyspozycji partii Lenina i Stalina, mobilizując rewolucyjne siły ludu do ostatecznego szturm na bastion kapitalizmu.

Dzierżyński, u którego gorąca miłość ojczyzny stapia się w jedną całość z głębokim internacjonalizmem, wie, że walcząc w szeregach partii bolszewickiej o zwycięstwo i utrwalenie władzy proletariackiej w Rosji, walczy jednocześnie o wyzwolenie polskiej klasy robotniczej, o społeczne i narodowe wyzwolenie Polski.

Z niespożytą energią rewolucjonisty, z całym twórczym temperamentem wypełnia Dzierżyński wskazania Lenina i Stalina, nieugięcie broni linii partii, która powierza mu coraz trudniejsze zadania.

Na słynnej konferencji kwietniowej w r. 1917, na której Lenin ogłosił swoje Tezy Kwieśniowe, wytyczające partii i proletariatu wyraźną linię przejścia od rewolucji burżuazyjnej do socjalistycznej — Dzierżyński wybrany zostaje zastępcą przewodniczącego konferencji. Na IV Zjeździe partii bolszewickiej z całą mocą popiera linię polityczną Lenina i Stalina, linię przygotowania proletariatu i biedoty chłopskiej do powstania zbrojnego, skierowania partii na drogę rewolucji socjalistycznej. Kiedy Stalin wypowiada się kategorycznie przeciwko stawieniu się Lenina przed sądem kontrrewolucjonistów, oceniając w ten sposób dla całej ludzkości życie wielkiego wodza rewolucji — Dzierżyński gorąco popiera zdanie Stalina. „Powinniśmy

jasno i wyraźnie powiedzieć, że dobrze uczynili ci towarzysze, którzy poradzili towarzyszowi Leninowi, aby nie dał się aresztować”. Zjazd powołał Dzierżyńskiego w skład Komitetu Centralnego. Widzimy go jak, wraz ze Stalinem i Swierdłowie, pracuje w sekretariacie KC, skupiającym całą działalność organizacyjną i polityczną partii.

Zbliżają się dni decydujących starć.

Wierny uczeń i współtowarzysz walk geniuszów rewolucji, Lenina i Stalina — Dzierżyński działa teraz w Piotrogrodzie. Pod przewodnictwem Stalina bierze najaktywniejszy udział w przygotowaniu powstania zbrojnego. Jest członkiem Ośrodka Partynego powołanego do praktycznego kierowania powstaniem. Na czele Ośrodka, który był trzonem Komitetu Wojskowo — Rewolucyjnego przy Radzie Piotrogrodzkiej, stoi Stalin. Dzierżyński bezpośrednio przygotowuje powstanie w kilku dzielnicach miasta, zdobywa pocztę i telegraf. Jako przewodniczący Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego podpisuje bardzo ważne dokumenty rewolucyjne. Płonie gorącą pracą. Organizuje masy, agituje, przemawia na zebraniach i wiecach, nieugięcie wykonuje zadania partii.

Wreszcie nadchodzi historyczny dzień 7 listopada (25 października) 1917 r. Rewolucja socjalistyczna odniosła całkowite zwycięstwo. Przyniosła wolność Rosji, a masom pracującym świata wskazała drogę walki o wyzwolenie narodowe i społeczne. Dzięki Rewolucji Październikowej Polska uzyskała niepodległość.

Wieczorem tegoż dnia odbył się w Instytucie Smolnym pamiętny II Ogólnorosyjski Zjazd Rad, który proklamował powstanie pierwszego w świecie państwa socjalistycznego, państwa rządzonego przez robotników w sojuszu z chłopstwem. Z trybuny tego Zjazdu Dzierżyński oświadczył: „Proletariat polski zawsze był we wspólnych szeregach z rosyjskim”. Wiemy, że jedyną siłą, która może wyzwolić świat, to proletariat walczący o socjalizm. Triumf socjalizmu stworzy wyzwoloną Polskę jako wolną wśród wolnych, równą wśród równych, w braterskiej rodzinie wspierających się nawzajem ludów”.

Towarzysz Stalin, geniusz rewolucji, oceniając udział Dzierżyńskiego w przygotowaniu i kierowaniu Wielką Rewolucją Socjalistyczną — nazwał go Bohaterem Października.

Rewolucja socjalistyczna oddała raz na zawsze kierownictwo ogromnego państwa w ręce uczciwych i wyszkolonych dotąd milionów mas pracujących. Toteż kontrrewolucja wewnętrzna, korzystając z szerokiego poparcia międzynarodowej burżuazji imperialistycznej, rozpoczyna walkę z Republiką Radziecką, dążąc do obalenia jej. Należało natychmiast zmobilizować wszystkie siły do zdławienia tych

zbrodniczych usiłowań. Należało postawić na czele tej walki „dobrego rewolucjonistę — jakobina”, jak to określił Lenin. 20 grudnia 1917 roku na wniosek Lenina Dzierżyński mianowany zostaje przewodniczącym Wszechrosyjskiej Komisji Nadzwyczajnej do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem (WCzK).

To co predysponowało Dzierżyńskiego na takie stanowisko, kiedy decydowały się losy władzy radzieckiej — to była jego niezłomna i konsekwentna postawa rewolucyjna, szlachetny charakter, bezgraniczna wierność idei socjalizmu.

Dzierżyński nie zawiódł zaufania partii, narodu radzieckiego i międzynarodowego proletariatu. WCzK stała się w rękach Dzierżyńskiego „karzącym mieczem rewolucji”, groźnym postrachem dla tych, którzy śnił się powrót krwawych czasów cara. O działalności Dzierżyńskiego na czele WCzK pisał Komitet Centralny i Centralna Komisja Kontrolna WKP(b): „Dzierżyński wykazywał nadludzką energię, pracując na swej placówce dniami i nocami, nocami i dniami, bez snu, bez jadła, bez najmniejszego wytchnienia... Zasługi jego są olbrzymie, nieocenione”.

A oto co sam pisze w tamtym okresie do żony swojej Zofii. „Jestem w ogniu walki — życie żołnierza, który nie ma wypoczynku, bo musi ratować dom nasz. Nie ma czasu myśleć o swoich i o sobie. Praca i walka straszna, lecz serce me w tej walce pozostało żywe, to samo co dawniej. Cały czas — to jeden nieprzerwany czyn, by dotrzymać placu do końca. Wyniosło mnie na posterunek w pierwszej linii i wola moja — walczyć i patrzeć otwartymi oczyma na całą grozę położenia i samemu być straszny, by jak pies wierny rozszarpał złodzieja...”

O charakterze Dzierżyńskiego, o jego wielkiej odwadze i ogromnym osobistym autorytecie świadczy m. in. następujący fakt. Latem 1918 r. wybuch w Moskwie bunt „lewicowców” eserowców, poparty przez część pracowników WCzK. Sytuacja była groźna. I oto Dzierżyński zdobywa się na niezwykle bohaterstwo. Sam, bez ochrony, idzie do gniazda wroga. Siłą swego autorytetu rozbija spiskowców i likwiduje niebezpieczny bunt.

Dzięki jego ogromnej czujności rewolucyjnej organy WCzK wykryły dziesiątki niebezpiecznych spisków i organizacji kontrrewolucyjnych, m. in. „Komitet Ocalenia Ojczyzny i Wolności”, „Centrum Narodowe”, spisek przedstawicieli państw obcych, na czele którego stał angielski poseł, Lockhart.

W tym czasie burżuazja polska odsłania swe zdradzieckie, antynarodowe oblicze. Rzuciła ona najohydniejsze kalumnie na Dzierżyńskiego. Solidaryzuje się z siłami reakcji, z otwartymi wrogami niepodległego państwa polskiego. Zdradza interesy narodu polskiego tak samo, jak uczyniła to w roku 1905, kiedy rewolucja otwierała perspektywę wyzwolenia ojczyzny.

Siła, z jaką Dzierżyński uśmierzał wrogów ludu, namietność, z jaką bronił interesów mas pracujących, ich prawa do szczęścia — wypływała z płomiennego ukochania człowieka. Dzierżyński był uosobieniem głębokiego humanizmu i dla tego robotnicy i chłopci kochali go. W stosunkach z ludźmi ujmował wszystkich serdecznością, troskliwością i dobrocią. W duchu miłości dla Kraju i Rad i wierności dla partii bolszewickiej wychowywał podległych sobie pracowników. Mawiał często: „człowiek może być człowiekiem o zimnej głowie, gorącym sercu i czystych rękach”.

Dzierżyński kochał dzieci, widząc w nich przyszłość socjalizmu. „Nie wiem, dlaczego tak kocham dzieci, jak nikogo... Często wydaje mi się, że matka nawet nie kocha tak gorąco, jak ja”. To z jego inicjatywy zajęto się gorliwie problemem bezdomnych dzieci w ZSRR. „Owoce rewolucji nie dla nas, ale dla nich — pisze. — A tymczasem ile ich jest wykończonych przez wojnę i nędzę. Tu trzeba po prostu rzucić się na pomoc, jak to robimy wobec tonących... Powstaje wtedy Komisja do Spraw Polepszenia Bytu Dzieci. Setki tysięcy bezdomnych dzieci wychowano dzięki temu na świadomych bojowników socjalizmu.

To dla ich szczęścia i wolności walczą Dzierżyński na najtrudniejszych odcinkach frontu przeciwko interwencyjnemu wojskom imperialistycznym, którzy chcieli zniszczyć pierwsze w świecie państwo socjalistyczne.

Po zwycięsko zakończonej wojnie — ZSRR przystępuje do pokojowego budownictwa. Przede wszystkim trzeba było zdźwignąć z ruin dotychczas zniszczony transport. Lenin i Stalin wskazywali, że jak najszybsza odbudowa transportu jest zasadniczym warunkiem odbudowy całego gospodarki narodowej. W kwietniu 1921 roku Partia powołała Dzierżyńskiego stanowisko Komisarza Komunikacji, nie zwalniając go z funkcji przewodniczącego WCzK.

Z tym samym poświęceniem, z tą samą energią, z jaką walczył o zwycięstwo Rewolucji Październikowej, z tą samą siłą, z jaką młodził kontrrewolucję, przystępuje do pracy na froncie budownictwa gospodarczego.

W oparciu o szerokie masy ludzkie — rozpoczyna walkę o uduchowienie zniszczonych torów, warsztatów kolejowych i budynków, parowozów i wagonów. Wprowadza świadomą, proletariacką dyscyplinę pracy, tępia łapownictwo i biurokrację.

„Dzierżyński odznaczał się zwyczajnym poczuciem odpowiedzialności — pisze Zofia Dzierżyńska. Wkrótce po mianowaniu go Komisarzem Ludowym Komunikacji, skutkiem nieurodzaju nad Wolgą, Ukrainie — Republika Radziecka znalazła się w nadzwyczajnym położeniu. Jedynie zboże syberyjskie mogło uratować Moskwę, Leningrad i inne miasta od głodu. Tymczasem koleje syberyjskie nie dawały się w stanie prawie zupełnie rozprzeżenia. Wobec tego w 1921-22 Dzierżyński pojechał z grupą współpracowników na Syberię. Ogromny wysiłek i talent organizacyjny Dzierżyńskiego zrobiły swoje. Kolejnictwo syberyjskie zostało ustawione na nogi, zboże Syberii stało dostarczone głodującym mieszkańcom”.

Jest wielką zasługą Dzierżyńskiego, że w roku 1924 Wszechrosyjska Konferencja Partii Komunistycznej mogła stwierdzić: „transport znajduje się w takim stanie, iż może bez szczególnych trudności zaspokoić wszystkie potrzeby gospodarki narodowej”.

W okresie, kiedy na wniosek Stalina Dzierżyński objął stanowisko przewodniczącego Najwyższego Gospodarki Narodowej (lutym 1924) — gospodarka radziecka przeżywała poważne trudności. Trockiści wykorzystując śmierć Lenina usiłowali trudności pogłębić i przegospodarować warunki do przywrócenia kapitalizmu w ZSRR.

Plan w zakresie budownictwa nakreślony wówczas przez Partię przewidywał dalsze rozszerzenie przemysłu, zniżkę cen produktów codziennego użytku, reformę transportu, dalszy rozwój handlu i przemysłu leśnego i wypieranie prywatnego handlu z rynku. Drogą walki o te trudności pogłębić i przegospodarować warunki do przywrócenia kapitalizmu w ZSRR.

Plan w zakresie budownictwa nakreślony wówczas przez Partię przewidywał dalsze rozszerzenie przemysłu, zniżkę cen produktów codziennego użytku, reformę transportu, dalszy rozwój handlu i przemysłu leśnego i wypieranie prywatnego handlu z rynku. Drogą walki o te trudności pogłębić i przegospodarować warunki do przywrócenia kapitalizmu w ZSRR.

Wielką zaletą Dzierżyńskiego było, że nie ograniczał się tylko do ogólnego kierownictwa, ale potrafił wał konkretne środki, wiedząc, że realizacja zadań. Niestrudzenie wyjaśniał i tłumaczył działaczom z podarzym, że jednym z ważnych środków podniesienia wydajności pracy jest popieranie i wykreślanie twórczej inicjatywy robotników, „których myśli... nastawiamy na ulepszenie metod produkcji i podniesienie produkcji przy zmienionym zużyciu sił i materiałów”. Dzierżyński podkreślał, że jednym z istotnych warunków budzenia inicjatywy mas, w krywania coraz to nowych rzeczy jest dokładna znajomość potrzeb i odcinka pracy, dokładna znajomość braków i niedociągów oraz śmiałość, bolszewickie stosowanie krytyki i samokrytyki. „Cała nasza proletariacka władza opierała się właśnie w tym, że nie ukrywaliśmy swych błędów i braków, lecz przeciwnie, sami je ujawnialiśmy i otwarcie analizujemy...”

W walce o planowy wzrost gospodarki, o szybki rozwój przemysłu Dzierżyński nie omija żadnego problemu. Wprowadzony przez niego surowy reżim oszczędnościowy ogarnął się bardzo istotnym ogniwem w walce o obniżkę kosztów produkcji, o szybki rozwój przemysłu socjalistycznego. W rozmowie z redakcją pisma „Torgowo — promyslowaja Gazeta” powiedział: „Właśnie o system oszczędzania, o obniżeniu kosztów nieprodukcyjnych, o winna się stać podstawową przyczyną w codziennej, powszedniej pracy każdego działacza gospodarczego całego przemysłu... System oszczędzania jest... walką o sojusznika, jest walką o prawdziwe budownictwo socjalistyczne”.

Dzierżyński był w swej pracy niesłychanie operatywny. Sam bezpośrednio kontrolował pracę wykończonych sobie resortów, często wchodził w teren i na miejscu badał sytuację, popierał każdą nową i skuteczną inicjatywę.

„Pamiętam, jak pracując w Rosji — pisze tow. Mikołaj, wójtowie działacz WKP(b) — specjalnie przejeżdżałem w 1925 r. do Moskwy z prośbą, by zbudowano u nas fabrykę maszyn rolniczych. Tow. Mikołaj bardzo się moją propozycją cieszył... udało się ze mną w Głównego Urzędu Przemysłu i Metalowego i na miejscu rozstrzygnęliśmy wszystkie kwestie”.

Z całą swą bezkompromisowością realizował Dzierżyński wytyczne przez towarzysza Stalina linie polityki: przekształcenia Związku dziecięcego w państwo przemysłowe, budowanie ciężkiego przemysłu, podstawy ustroju socjalistycznego. To on rzucił hasło, aby kraj stał się uczynnym krajem metalu, bez którego nie podobna przeprowadzić rekonstrukcji całego przemysłu.

(Dokończenie na str. 9-e)

ALEKSANDER BEZYMIEŃSKI

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazał się poemat Aleksandra Bezymieńskiego w tłumaczeniu Juliana Tuwima. Z poematu tego wydano w pięknej, albumowej edycji, ozdobionej drzeworytem Wacława Waśkowskiego — zamieszczamy poniżej jeden z fragmentów

FELIKS

Goreje człowiek,
A nie zgoreje,
Nie zaleje go tysiąc rzek.
Goreje człowiek
I nie zgoreje
Po wieków wiek.

Gorejąc — światu
Szczęścia przysporzy,
Świat opromieni
Blaskami zorzy.

Człowiek, gorejąc.
Mówi — i tworzy.

Idzie człowiek,
Zwyczajny człowiek,
Po ziemi nędzy,
Ziemi ponurej...

Przyszłemu człowiek,
Zwyczajny człowiek,
I uciął bestii pazury.

Człowiek na przedzie,
Czł-wiek — wiedzie
W pochód, jakiego nie znają dzieje.

Człowiek prowadzi,
Idzie — i dejdzie,
A po drodze goreje

Goreje człowiek,
A nie zgoreje,
Nie zaleje go tysiąc rzek.
Goreje człowiek
I nie zgoreje
Po wieków wiek.

Przełożył Julian Tuwim.

TADEUSZ BOROWSKI

CZERWONY MAJ



Feliks Dzierżyński w 1905 r.

(Fragmenty opowiadania; całość ukazuje się w tomie zbiorowym, poświęconym Feliksowi Dzierżyńskiemu, nakł. Spółd. Wyd. „Czytelnik”. Dwa rozdziały tegoż opowiadania, wprowadzające w wydarzenia 1-Majowe 1905 r., ogłosiła „Nowa Kultura” w nr. 28 z 15.VII.51 r.).

I

TO zapiski do opowieści o majowych dniach 1905 roku. Ten warszawski czerwony maj był wielką bitwą klasową proletariatu Gazety, ulotki, felietony, pamiętniki i relacje świadków tych historycznych wydarzeń malują przed nami barwny obraz tych dni. Z tych żywych, namietnych opisów pisarzy pozostaje tylko złożone mozaikę. To także jest zadaniem pisarza: z kamieni przeżyć ludzkich, z losów wrogów i przyjaciół, z odłamków walki o wyzwolenie człowieka, z życia wielkich rewolucyjistów ułożyć fabule, opowiesć, historię.

2

Wypadki styczniowe! Początek rewolucji 1905 roku! Jak ogień przez step tak wieść o Petersburgu, wzburyła Moskwę, Baku, Rygę, Kazań, Odessę, Kijów i Sarajewo, ogarnęła Warszawę. Zagłębienie Dąbrowskie, Łódź. Na wieść o masakrze robotników w Petersburgu stanęły w Warszawie wszystkie fabryki, warsztaty, szkoły. Robotnicy rzucili pracę i wyruszyli z fabryki i zagarnęli robotników z sąsiedniej fabryki. Władze nie miały czasu, aby wagi dać się do fabryki, celem na Karolkę. Robotnicy usłyszeli sygnał do powszechnego strajku, wypuścili parę z kotła i przystąpili do demonstracji. Grupa robotników szły od fabryki do fabryki rozdając ulotki SDKPiL. Rozległo się hasło strajku powszechnego. Stanęła zaraz odlewnia Armaturek na Kolejowej, browary Machleja, Haberbuscha i Schille oraz Rajcha, następnie fabryki metalowe: Norblina, Jarnuszkewicza, Frageta, młyn parowy Michalskiego, Głuchowskiego na Włocławku, ogromna fabryka Lilpola, i Z. Elińskiego. Zastrajkowali kolej, porzucili pracę rzemieślnicy wszystkich fachów, zmuszono do zamknięcia restauracji i sklepów, przysłano większe siły policji, wzięto do pęchoty warszawskiego regimentu, forteczne krwawo stłumiły manifestację i strajki robotnicze. Zakończono wiec robotniczy na placu Witkowskiego. Robotnicy wywieźli dwie platformy, zadowolone tłumy po wiecach Podporucznik Pawłow z lejgwardyjnego pułku wylądował rozkazał, aby robotnikom strzelać do pojedynków. Wyjeżdżając z kazań, na patrolie żołnierze mordowali ludzi dla wprawy. Polcja zjechała nad robotnikami, zapelnili się strzelniczy szubienice w więzieniu Gdanskim.

W Warszawie zaległa groźna ciemność. Dzielnice robotnicze, patrolowane przez ulanów, huzarów, Kozaków, oddziały policyjne, przez komisarzy i rewirów. Zacięły się w milczeniu. Tylko w fabrykach wybuchły raz po raz krótkie, chwytliwe strajki. Natomiast miasteczko, gdzieś w odosobnieniu, oburzało się na robotników, wyrzucało wiernopodległość uczucia rządowi i jenerałom gubernatorowi, nasłuchiwało pilnie odgłosów bitwy w Monturii pod miastem Gundzulin, czytało z

przejęciem depesze lekarzy, wysłanych na front z wojskiem, zadawało ciasteczka, słynne, smaczne, pulchne ciasteczka warszawskie, bogato się żeniło, spekulowało na gruntach, akcjach, wagonach, dostawach na Daleki Wschód, martwiło się o ojczyznę, której dopiekała konkurencja rosyjskiego przemysłu, słowem: otulone skrzydłami caratu, żyło, jak żyje burżuazja.

Tymczasem klasa robotnicza zbierała siły do nowej bitwy. Gęsta, sprężysta sieć organizacyjna łączyła robotników warszawskich z całym krajem, z wielkimi ośrodkami przemysłowymi Łodzi, Częstochowy, Zagłębia Śląsk rewołucyjny sędzi przez Zagłębie Dąbrowskie na Śląsk, skąd przemycano do Królestwa broń; drugie jego odgałęzienie sięgało Krakowa, gdzie drukował się „Czerwony Sztandar”, działał niekiedy przywódca SDKPiL, i tylko sobie władowymi drogami sięgał do Berlina, do Róży Luksemburg, Juffana Marchlewskiego, i szedł aż do Szwajcarii, gdzie polska socjaldemokracja miała żywe związki z rosyjską SDPRR.

Te wszystkie szlaki przecinały się w Warszawie. Warszawa, stolica „lutejszego kraju”, jak pisały carskie i burżuazyjne gazdini, była głową i sercem roboty rewołucyjnej. A warszawski ośrodek rewolucji żył Józefem.

Był to prawdziwy geniusz rewolucji. Ten młody, zaledwie dwudziestoletni, działacz już od dziesięciu lat niezmordowanie organizował polską socjaldemokrację. Wstąpił się w Wilnie, gdzie w młodości walczył z nacjonalistycznymi wpływami w młodej socjaldemokracji litewskiej. Żył wśród robotników, pracował razem z nimi, chociaż pochodził ze szlachty. Był na zesłaniu, uciekł z niego samotny, przedarł się do Wilna, a potem do Warszawy, gdzie, niezmordowaną pracą doprowadził do zjednoczenia polskiej i litewskiej socjaldemokracji w jedną partię: SDKPiL. Po półrocznej pracy schwytany znów i zesłany, uciekł łódką, piechotą, furmanką, pocągami, siedemnaście dni i nocy przepływał się do kraju. Wygodzony, z pionącymi oczyma, w wytartym palcie i zabłoconych butach po pięć razy dziennie zjawiał się na zebraniach robotniczych. Sam agitował, rozdzielał zjadania, nawiązywał łączność, jeździł po kraju, zapuszczał się do kopalni, przemawiał na dziedzińcach fabryk, redagował ulotki, odezwę, pisma. Przygotowywał rewolucję.

Zacięte strajki styczniowe przyniosły robotnikom pewne zdobycze. Niektóre fabryki skróciły dzień roboczy z jedenastu godzin do dziesięciu, podnosząc o kilka kopiejek podziwiny lon, zaprowadzając krakenkasy i zapomogi połączące dla robotników. Ale dając lewą ręką, fabrykant sprawiał zaciskał w pięść: na ulicach spalały patrole, fabryki obsadzone były policją, szpicle wdzierali się do mieszkań. W mieście panował stan wzmożonej ochrony.

Na Wronia, gdzie SD zarządziła zbiórkę jednej grupy manifestantów, napływali bez ustanku tłumy. Ludzie zbijali się w gromadki, słuchali przygodnych mówców, wznoszonych na barkach towarzyszy, grupy skupiały się, gęśniały, zapelniały ulicę. Ze wszystkich bram, ze wszystkich ulic napływały wciąż nowe i nowe tłumy. Szli robotnicy od Gerlacha i Pulsa, od Lilpola, Raua i Lewensztajna, od Rudzkiego, z fabryki wyrobów platerowych Frageta, z Wiedeńskiej Kolei Żelaznej, z warsztatów mechanicznych K. Brucz i Syn. z fabryki Augusta Repphana, z fabryki butów Baumflecka i jego konku-

renta Brochisa, Schodzili się mulnicy, stangreci z tramwajów, robotnicy z fachu piekarskiego, zduńskiego, rzeźniczego, szcztokarskiego, lakierniczego, kotlarskiego. Szły robotnice z fabryk wstążek, tasemek, wienców, z Drezdeńskiej Fabryki Firanek, gdzie fabrykant stosował rewizję osobistą, z fabryki lamp na Pawiej, gdzie kobiety pracowały dwanaście godzin na dobę — i z wielu innych fabryk, warsztatów, sklepów, kantorów — twierdzi, okopów i reduct socjalizmu w Warszawie. Gdzieś wśród tłumów pojawiali się drobne patrole Kozaków, ale żołnierze spiąwszy konie znikali w przyległych ulicach. Wronia wczesnym rankiem przeszedł patrol żołnierzy, prowadzony przez komisarza z XI rew. ru. Robotnicy krzyczęli do żołnierzy:

— Bracia! Chodźcie z nami! Chcemy chleba i wolności! Kogo wy bronicie? Cara-batiuszkę? Krwawego tyra, Mikołaja Ostatniego? Nie strielajcie w swoich gołodolnych braciach!

Żołnierze oglądali się bojaźliwie na robotników, przyspieszali kroku. Niektórzy uśmiechali się przyjaźnie, inni wrzuszali ramionami, jakby mówiąc: my na to nic nie poradzimy, taki już rozkaz, taka nasza dola. Patrole przechodziły wąskim szpalerem i znikły za rogiem ulicy. Konnicy w ogóle nie było widać. Stróż porządku publicznego, komisarze, rewirów, policjanci w asyście żołnierzy okradali z daleka tłum, węsząc podejrzliwie.

Uporawszy się z gospodarstwem, rozdawszy wszystkie ulotki, oddawszy sztandar w dobre ręce i nakarmiwszy gońców i łączników, towarzysząca Anna wzięła małą Joasię i przedarła się z nią do dzielnicy robotniczej. Dziecko dreptało koło niej ze śmieszna powagą, śmiejąc opalonymi kolankami. Kiedy znalazła się wśród towarzyszy, Anna dała jej czerwona chorągiewkę z białym napisem: SD. Takie czer-

wone chorągiewki, krawaty, chusty mieli inni demonstranci.

W sklepach (stwierdzili potem z zadowoleniem kupcy warszawscy, którym zysk był droższy niż socjalizm i ojczyzna) wyprzedano w przeddzień demonstracji wszystkie czerwone krawaty, biorąc dwa i pół rubla za towar, który nieraz był zleżały. Ano! Każdy uczy się historii, jak umie i tworzy ją, jak potrafi. Jedni przelewają krew, a drudzy sprzedają czerwone krawaty!

Anna przesuwiała się między kobietami, starymi robotniczkami, znaczącymi przez więzienia i zsyłki. Brama, które policja kazała zamknąć, po przejściu patrolów policyjnych otwierały się na nowo. Coraz nowe grupy robotników wychodziły i dołączały się do manifestantów. Przebijając się wśród tłumów na Wronia, Anna spotkała Pytłasa. Krzyknął do niej:

— Wszystką bibułę już rozdałem! Gnam po nową!

— Czy demonstracja już się rozpoczęła? — zapytała zaniepokojona Anna. — Przez to że wyprawiam łączników, to się spóźniłam.

— Ale! — roześmiał się Pytłasi. — Masz jeszcze furę czasu. Zdażysz na pochód. Na razie według planu przedziemy po ulicach naszej dzielnicy — dopiero koło południa, jak przyjdą wszystkie dzielnice, pojedziemy do śródmieścia.

— Pochód ruszył! Formuj się! — przebiegło po tłumie wołanie. Pytłasi machnął jej ręką i pośpiesznie pobiegł chodnikiem. Anna podążyła naprzód, podnosząc małą Joannę na rękach.

— Mamusi! Nasz sztandar! — krzyknęła dziewczynka i zaśmiała się radośnie.

— Twój sztandar? — roześmieli się robotnicy, którzy szli koło Anny.

— Pewnie, że mój! Tylko mamusia nie kazała mówić! — rzekła rezolutnie mała.

STANISŁAW WYGODZKI

NA SYBIR

Już noc i chłód, nie widać twarzy, zasnęli skuci towarzysze. Przez sen ktoś jęczy, to znów gwarzy i nagle krzyknie w nocną ciszę.

Poderwie się, usiądzie w mroku i dłoń uciebie — lecz nie wolna, a właśnie śnił, że las jest wokół i nucić idzie drogą polną.

I więzień znowu się ułoży, pod głowę wsunie skute dłoń i w sen zapada, który trwoży i cisza pełnie po wagonie.

Lecz Feliks nie śpi. Gdzieś daleko została Łódź, gdzieś śpi Warszawa, i chmura płynie ponad rzeką, i lekko zaszumiała trawa.

Już minął most, do miasta zmierza, znajomy dom dostrzega w dali. Obudził śpiących, snu ich nie żal, ktoś drzącą ręką lampę pali.

I znowu stanie do roboty, o dniach minionych wspomni nieco. Na Łódź, Zagłębie, na Ochotę. Bo czasu szkoda. Lata lecą.

A tu roboty bardzo wiele, i lata przeszły, ani chybi... I liczy w ciszy: Cytadela, zsyłka, Siedlce, Ratusz, Sybir...

O „Iskrę” spyta Wnet poprosi o cały komplet — towarzyszy, by poznać to co Lenin głosi, i o czym „Iskra” teraz pisze.

I Feliks się uśmiechnął. Mrozem zabłysły kraty u wagonu i z „Iskrą” świat się wdarł do wozu wśród dźwięku kajdan, jak wśród dzwonów.



Konstanty Sopoćko

Wyd. DWAG „Prasa”

Z teki „Feliks Dzierżyński” — W drodze na zesłanie

Poszły przodem. Stary, siwy robotciarz popatrzył na małą i rzekł: — Ty już będziesz, siostrzyczko, sztandar w wolnej Polsce nosiła, nie?

Na rogach ulic policjanci ustawili samonnych żołnierzy. Na widok sztandaru żołnierze milcząc zaczęli zdejmować czapki. Oczy ich były martwe i nieme. Widać, że są nędludźko zmęczeni.

Tymczasem pochód przeszedł z placu Witkowskiego Wronia, Towarową, Pańską, Twardą, Miedziąną, Śląską, Złotą, Żelazną, wznosząc okrzyki przeciw carowi. Przy Krochmalnej na barkach towarzyszy wznosił się mówca z dzielnicy Jerolimima. Słowa jego zgęśniały w gwarze, tylko tłum pochwylił okrzyk: „Niech żyje walka z caratem! Niech żyje braterstwo polskich i rosyjskich robotników! Niech żyje konstytucja!” Nagle Anna poczuła, że towarzysze dźwigają ją w górę. Usłyszała wesołe wołanie:

— Ano, głos mają kobiety! Ciśsza! Głos mają kobiety!

Anna rozejrzała się: morze głów, tysiące oczu wpatrzonych w nią. Z daleka, z innych ulic schodziły się gromady robotników. Rozwijaly się czerwone sztandary. Anna popatrzyła na wiosenny, radosny tłum, na trzepoczące się sztandary, na czyste, pogodne niebo i zaczęła mówić, mocno w ramionach trzymając córeczkę:

— Towarzysze! Jestem z Drezdeńskiej Fabryki Firanek. Pracujemy na ulicy Górczewskiej. Mój mąż pracował u Jarnuszkiewicza. Aresztowali go carscy oprawcy i zamordowali na stokach cytadeli. Pracuje u nas czterysta kobiet. Nie ma chyba niczego takiego wyższego, jak w naszej fabryce. Pracujemy dziesięć godzin, a czasem dwanaście.

— Hańba! — odezwały się głosy. — Precz z kapitalistami!

— Ale to jeszcze nie wszystko! — podjęła Anna — U nas były majster, byle podmajstry robi z robotnikami, co chce. Jak długo jeszcze będziemy niewolnicami? Jak długo jeszcze będziemy znosić rewizję osobistą? U nas jeszcze dziś fabrykant po fajrancie staje w kantorze i każda robotnica musi podnieść sukienkę, aby zobaczył, czy czego nie ukradła!

— Hańba! Wstyd! Precz z niewolą! — Towarzysze! Popatrzcie! Oto moja mała córeczka! Nie chce, aby ona, gdy dorosnie, tak musiała cierpieć, jak my cierpiemy! Chcę, aby cała klasa robotnicza, cały świat wiedział o naszych cierpieniach! Chcę wywalczyć lepsze jutro dla mego dziecka! Kobiety! Do szeregów socjaldemokracji! Do walki o osiem godzin dnia roboczego! Do walki o szczęście naszych dzieci! Precz z caratem! Niech żyje braterstwo wszystkich robotników! Niech żyją kobiety!

— Niech żyją nasze robotnice! — krzyczał tłum. Zdjęto Annę z ramion towarzyszy, ścisano jej dłoń, kobiety całowały ją serdecznie. Mała Joanna uśmiechała się także i krzychała razem ze wszystkimi:

— Niech żyją kobiety! Niech żyją robotnice!

9

Grupa towarzyszy na rogu Złotej otoczyła młodego agitatora z dzielnicy staromiejskiej. Był to chudy, wysoki blondyn o zwichrzonych włosach i rzadkiej, jasnej bródce, wychudły, smagły, wesoły. Żywe, pionące oczy spoglądały na słuchaczy szybko, pogodnie. Inteligent! Mówił, nieco zacinał się, a oczy mu płonęły.

O co walczyliśmy, towarzysze? O co przelewają krew nasi towarzysze rosyjscy w Petersburgu? Gdzie sprawiedliwość dla narodu, dla robotnika? Nie ma jej w książkowych palacach, w bankach pańskich, na carskich pokojach! Nie ma jej w zamkach gubernatorów i kazarmach żoldackich rot! Sprawiedliwość sami wywalczymy! Socjalizm, bracia, to nie pojęcie wyrozumowane. To także pochodnia, która zapala w sercach naszych wiarę i energię niezwalczoną. To krew z naszej krwi i krew naszej kości. To nasze życie! Kiedy, kto waszym wrogiem, a kto waszym bratem! Wrogiem waszym — absolutyzm carski i polsko-rosyjska klasa kapitalistyczna. Bracia, waszym — rewolucyjna rosyjska klasa robotnicza! I jak zawsze, tak i w tym roku, idziemy manifestować! Pierwszego Maja pamiętajcie, że wspólny wróg — wspólne hasło: „Niech żyje konstytucja! Niech żyje ośmiogodzinny dzień pracy! Niech żyje socjalizm! Precz z wojną, wyzyskiem i caratem! Do pochodu, towarzysze!”

Podniosły się sztandary i pochód zwolna ruszył ulicami robotniczej dzielnicy. Na czele pochodu szli chorąż, powiewając nowym, jedwabnym sztandarem SDKPiL, chroniony przez młodych robotników. Za nim przez całą jezdnię walił rozpięwany tłum. Z sąsiednich ulic dołączały się dalsze demonstracje, pochód rósł i potężniał. Z okien spływały kwiaty powiewano chustami. Tak pochód doszedł do Alei

Jerolimskich i zaczął iść Alejami. Nagle od zwoła ktoś przenikliwe krzyknął: „Wojsko jedzie!” Tłum zawahał się, zafalował i, wiedziony przez chorążego, poszedł ze śpiewem naprzód.

12

Gdy huzarzy wpadli na pochód, Anna, schwyciwszy córkę, pobiegła wraz z ludźmi naprzód. Pierwsza salwa oszczędziła ją. Dobiegła już prawie do Teodora, gdy zagrzmiła druga salwa. Joasia jęknęła przejmująco. Anna zatrzymała się jak skamieniała. Koło niej przebiegał tłum, padali z jękiem ludźmi, słychać było chrapliwe głosy komendy. Dziewczynka zwiślała jej bezwładnie w rękach. Anna czuła na dłońach ciepłą, żywą krew. Dźwignęła dziecko w ramionach i wolnym krokiem ruszyła prosto na żoldackie bagnety. Szła samotna ulicą, zasłaną trupami i rannymi. Pijany przystaw, stojący przy oddziale, zakomenderował chrapliwie:

— Ognia w tę kobietę!

Ani jeden karabin nie szczęknął. Przystaw popatrzył mętным wzrokiem na żołnierzy. Była to rota grochowskiego pułku piechoty.

— Bunt! — krzyknął i wyszarpanął z kabury rewolwer Strzelę, ale nie trafił. Podbił mu dłoń żołnierz z rot. Był czerwony i ścisnął w rękę kurczowo karabin.

— Ty nie strielaj, a to ubiję jak swołocz! — powiedział zduszonym głosem.

Kobieta postąpiła jeszcze krok naprzód i nagle salwa, dana z koku, podcięła jej kolana. Upadła zasłaniając swym ciałem ciało dziecka. Leżała tuż przed szeregiem żołnierzy na pustej ulicy, na splecionej od słońca jezdni. Krew ich czerniała na słońcu i wsiąkała w czerwona chorągiewkę, którą jeszcze po śmierci trzymała w ręku mała Joasia.

15

Jeszcze nie przebrzmiały strzały, jeszcze żoldactwo pastwiło się nad bezbronnymi, jeszcze patrole nerwowo przebiegały ulicę robotnicze strzelając do przypadkowych przechodniów, a już Józef, który osłaniając odwrót robotników przez ogrody miejskie, przedarł się do dzielnicy robotniczej, zebrał kilku towarzyszy i udał się do drukarni SDKPiL. Chodził nerwowo po ciemnym pokoju, stawał pod oknem, zabitym deskami, wyglądał przez szpary na ogród, kwitnący ogród, przysłuchiwał się szczebiotowi ptaków i dyktował łamiącym się głosem odezwę do robotników i inteligentów:

„Dziś podział zrobiony, kości padły. Dziś wam tylko wybór zostaje: albo z nami, z walczącym proletariatem, albo z nimi, pacholami kapitalu i knuta. W obozie rewolucji albo w obozie reakcji. Po stronie bagniet albo po stronie ulicy!”

Zatrzymał się na środku pokoju i dodał z zaciętością w głosie:

— Głupcy! Czyż można utopić historię we krwi? Te ulice, to miasto, ten kraj — będą nasze! Kto z nas życia za to nie odda?

Dyktował dalej:

„Obywatele! Dziś, po mordach majowych, milczenie nie jest już biernością. Dziś, gdy krew ludzi na bruku ulicznym wola o pomście, milczenie jest poklaskiem dla zbirów. Dziś, kto nie z nami, ten przeciw nam!”

— Wybierajcie:

Oto my, dzieci nędzy i pracy, podnoszący do góry poszarpane trupy naszych braci, naszych żon i dzieci, my, idący ze śpiewem rewolucyjnym na ustach i czerwonym sztandarem nad głowami na śmierć za waszą i naszą wolność.

A tam, w ciemnej, zwartej ciżbie, dziekie, ponure postacie absolutyzmu, a przy nich zgięte lokajskie plecy polskich panów i syczące gadziny prasy wsteczniczej.

— Obywatele! Wybierajcie! Kto żyje, niech śpieszy do nas żywych! Śmierć zbójce absolutyzmowi!

Niech żyje rewolucja!”

Towarzysze czerzyli złożyli pośpiesznie ze zderzenia i maszyna zaczęła tłuc. Nim zapadł mrok, tysiąc sztuk odezw było gotowe Kolportery częściej wzięli na miasto Część wzięli sam Józef. Zdecydował krótko:

— Idę na szpital na demonstrację!

— To szaleństwo! Tam roi się od szpicliów!

— Tam cierpią i walczą ludzie!

— rzekł twardo Józef. — Tam jest moje miejsce.

I poszedł pociągając za sobą towarzyszy.

16

Wysoki, ponury, czarny mur otaczał szpital. Szerokie korony kasztanów, pachnących jeszcze przedwiośniem, świeżo rozkwitłych, wychylały się na ulicę. Pod kasztanami, pod murem, stał milczący tłum. Podwórze szpitalne zatłoczone było ludźmi. Tłum gorączkował się, przeklinał, nękał się do kości. Jakże student w rozchylanym mun-

ANDRZEJ L. WRÓBLEWSKI

Z CYKLU: „BUDUJEMY POLSKĘ SOCJALISTYCZNĄ”

OFENSywa SOCJALISTYCZNEGO BUDOWNICTWA

W samym prawie środku głównej arterii Ostrowca Świętokrzyskiego, tej przemysłowej stolicy Zagłębia Staropolskiego, stoi figura wystawiona w 1776 r. To ślad panowania Sanguszków, Lubomirskich, czy Czartoryskich, ongiś właścicieli miasteczka. Ślad zresztą jedyny.

Na cokole figury napis: „Odre-staurowano od współpracowników zakładów ostrowieckich górniczych w 1905 r. Boże błogosław ich pracę”. To pamiątka z czasów panowania nad masem nowoczesnych mandatariuszy kapitału międzynarodowego. Tym razem pamiątka nie jedyna.

Przy tej samej głównej arterii, tam, gdzie ulica rozwidła się i przechodzi w drogi do Częstochy i Zawichosty — stoi kilka (cztery, czy pięć) dużych, ciemnych, ponurych budynków mieszkalnych, takich, jakie się widuje wszędzie przy większych fabrykach. To domy dla nieodzownej służby ruchu, potrzebnej stale, na każde zawołanie.

Odre-staurowana figura i te domy — to kapitalistyczne piorunochrony przeciw burzom 1905 r.

W OSTROWCU I GDZIE INDZIEJ

Domy „robotnicze” w Ostrowcu stoją dziś, tworząc swego rodzaju pas ochronny między fabryką a ulicą. Takie same domy stoją w Dąbrowie Górniczej, Łodzi, Sosnowcu, Zawierciu, na Rakowie w Częstochowie, w każdym większym ośrodku przemysłowym, który przeżył swój okres „normalnego” rozwoju kapitalistycznego. Duże, o nieokreślonej formie, z ciemno-czerwonej, szczerblawej od dymu cegły, z malenkimi otworami okien, zawsze bokiem do słońca, zawsze do ciągu dymów, byle wyzyskać do maximum zapasowe tereny leżące przy fabryce. Żadne zasady sanitarne, czy budowlane nie mogły być hamulcem zachłanności fabrykanckiej. Prawdziwe pomniki architektury i urbanistyki zarłocznego kapitalizmu.

Wtedy, po 1905 r., fabrykanci chętni się tymi budowlami jako dowodami swego „ludzkiego sumienia”. Było to ich zdaniem „wyprzedzanie życzeń” robotników. Nie trzeba tłumaczyć, że w istocie były to instrumenty polityki zatrudnienia w wielkich przedsiębiorstwach, świadomie stawiane przegrody między ogromną masą zaofiarowanej siły roboczej a majstrami, instrument łamania solidarności i jedności robotniczej, próby deklaskacji. Ale mieszkanie takie, mimo że drogie (dyrekcja fabryki porządkowała sporą sumę za komorne przy dwutygodniowej wypłacie, bo zainwestowany kapitał nie mógł się amortyzować poniżej 5% — było nie tylko wyrazem awansu w hierarchii służbowej. Było ono niedościgłym marzeniem



Fragment osiedla na Skarpie w Ostrowcu Świętokrzyskim

robotnika o... luksusie. Nie tylko dlatego że blisko do pracy. W mieszkaniu była... podłoga.

Ani odrobiny przesady w tym nie ma. Tysiące robotników Starachowic, Skarżyska, czy Ostrowca — to przeważnie mieszkańcy okolicznych wsi, czy przedmieść, dużej części właścicieli własnego, drewnianego — pozał się Boże! — „domu”, na którego wykończenie brakło nieraz do końca utrudzonego życia.

Zresztą to wszystko było utrzymane w granicach tradycji. W 1865 r. był Ostrowiec miastem drewnianych bud. Na 272 domy było zaledwie 43 murowanych. I to chyba na dowód, że król Kazimierz Polskę murowaną zostawił.

Rozwój przemysłu mało co ten stosunek zmienił. Według spisu z 1931 r. było w Ostrowcu 1321 domów drewnianych i 785 murowanych. Aż 57 z nich było skanalizowanych, a zaledwie 23% posiadało instalację elektryczną.

A przecie Ostrowiec to nienajlichsze miasto. Za rządów księcia ministra Łubieckiego inwestowano tu sporo. Pótem przyszli Fraenklowie, a po nich inni przedstawiciele kapitału rosyjskiego i wreszcie francuskiego. Zakłady rosyjskie. Nie zmieniała się tylko sytuacja mieszkaniowa robotników.

Za rządów II Rzeczypospolitej, a właściwie za rządów pana Toutée francuskiego dyrektora zakładów ostrowieckich — przeszło połowa mieszkań, bo 43,3 proc., to jednoizbowe kłitki, bez jakiegokolwiek instalacji. Dwuizbowych mieszkań było akurat 1/3. Obydwie te kategorie mieszkań, zajmowanych w

większości przez proletariát fabryczny — stanowiły 85,6 proc. wszystkich mieszkań Ostrowca. W pozostałych 14,4 proc. mieszkali urzędnicy dystryktu, trochę miejscowych notabli — starosta, adwokat, rejent, kupiec.

W tak zarysowanym przekroju oficjalna statystyka stwierdziła, że średnie zagęszczenie mieszkań w Ostrowcu wynosi 2,7 osób na izbę. Przypomina to trochę ów przysłowiowy pasztecik zajęczy, według recepty: pół konia, pół zająca. 2,7 osób na izbę otrzymuje się z podziału zagęszczenia mieszkania dyrektorskiego (3 osoby na 5 pokoi) i lepianki robotniczej (6 osób na jedną izbę).

Przeprowadzona w latach 1927 i 1933 przez Instytut Gospodarstwa Społecznego anketa wykazuje do wódno, że wskaźnik średniego zagęszczenia nie jest i nie może być miarą prawdziwą dla mieszkań robotniczych. Ze jeżeli mówi się o średniej gęstości 2,7 — to w mieszkaniach robotniczych cyfra ta wynosi 3,8 a w Zagłębiu Dąbrowskim dochodzi nawet do 4,4 osób na izbę.

Przypomnijmy „Pamiętniki Bezrobotnych”. To nieodzowny odsyłacz do wskaźników statystycznych.

BEZROBOTNI I IKAC.

„Mam lat 55, żona moja 50. Najstarszy syn ma 31 lat, najmłodsze dziecko 5. Razem dzieci jedenastu. Posiadam 2 łóżka i stolik, no i małą szafkę do rzeczy. Mieszkanie posiadam takiej wielkości — 4,5 metra długie, 3 metry szerokie i 1,90 wysokie. Na dwóch łóżkach śpię ja, żona moja i jedno dziecko, na drugim trójce dzieci, reszta sypia na ziemi. Kładę sienniki. Oto są warunki życia bezrobotnego, który przepracował w jednej firmie 37 lat” — pisze robotnik z Łodzi.

A oto fragment innego pamiętnika. „Zdziwił to może szanownego czytelnika, że płaćm za czynsz 5 złotych tygodniowo, więc to wyjaśnię. Mieszkam obecnie przy ul. R., jako sublokator u p. K., których rodzina składa się z 5 osób. Moja rodzina składa się z 6 osób, razem 11 osób w jednym mieszkaniu, którego powierzchnia wynosi 13 metrów kwadratowych, czynsz miesięczny wynosi 32,50 zł. Ja płaćm 20 złotych, pozostałe 12,50 zł płaćm p. K., jako właściciel mieszkania”.

Po co zresztą sięgać aż do tak jaskrawych obrazów. Wystarczy przypomnieć słowa jednego z apologetów reżimu sanacyjnego, „latającego reportera”, słynnego Ika — Konrada Wrzosa, który w swojej książeczce „Oko w oko z kryzysem” musi przyznać, że 9 grudnia 1931 r. było w Polsce prawie 300.000 ludzi, którzy w ogóle mieszkań nie mieli, a w mieszkaniach bezrobotnych, które oglądał w Zawierciu, 11 osób spało na 3 łóżkach.

Dość świadków i świadectw Wdzieliśmy to wszystko sami. Na własne oczy. Nie tylko w Ostrowcu, który jest typowym obrazem miasta przemysłowego średniej wielkości (20.000 mieszkańców). Podobnie było w większych miastach Kielcach (60.000 ludności), czy Częstochowie, która się zalicza do miast większych (powyżej 100.000 mieszkańców). Może tu i ówdzie zmienia się nieco stosunek domów murowanych do drewnianych, może król Kazimierz postawił gdzie indziej trwałsze fundamenty, może obok tych dwu rodzajów budynków wystąpić jeszcze inny, szczególnie charakterystyczny dla minionego XX-lecia — lepianka gliniana, ale to nie zmienia obracu całości, nie zwiększa odsetka domów skanalizowanych, czy elektryfikowanych. W takiej np. Częstochowie, na której żerował amerykański koncert Ulle-na, zarabiając miliony dolarów na kanalizacji, według spisu z 1931 r.

zaledwie 15 proc. domów było skanalizowanych, a światło elektryczne świeciło w połowie domów. I znów to samo co gdzie indziej — 83 proc. mieszkań to kłitki jedno i dwuizbowe, a średnia gęstość wynosi 2,5 osoby na izbę. Wiemy już z „Pamiętnika”, jak się tłumaczy ten wskaźnik w życiu.

Ale to wszystko o czym mowa — to historia. To ciągle jeszcze czasy II Rzplitej, kiedy rządili panowie z rad nadzorczych Stradomia, La Tschenstochovienne, Starachowic i Zakładów Ostrowieckich. A przecie przyszedł okres, gdy nawet i te wskaźniki GUS zostały mocno podważone. Przyszła wojna, okupacja hitlerowska i straszliwe, niespotykane w dziejach, barbarzyństwo pod płaszczykiem „Seuchengefahrgebiete”. Spędzono wtedy ludność żydowską całego miasta, a nieraz i okolicznych miast i miasteczek do jakiejś dzielnicy, no i... ślady getta w Warszawie, Rzeszowie i innych miastach dopowiadają resztę.

Przepraszam za te dygresje. No, ale cóż, nie można przecie oglądać dzisiejszego Ostrowca, Rakowa w Częstochowie, Rzeszowa, czy Chrzanowa, gdzie stoją już nowe osiedla mieszkaniowe ZOR, gdzie robotnik czuje już przedsmak socjalizmu — bez wspominek historycznych.

I znów wróćmy do Ostrowca, do tej samej głównej arterii miasta. Drugim swoim końcem opłata ona podnóże kościoła i wpada w rynek. Mija go i tuż za nim, na skarpie, która do niedawna jeszcze była śmietniskiem i gruzowiskiem (tak, to było kapitalistyczne śródmieście) — stoi dziś dokument rodzący się socjalizm, nowej urbanistyki. Jasnoszare, wesołe, przyjemne w kształcie domy, rozrzucone harmonijnie na niewysokiej skarpi — są awangardą socjalistycznego ataku na śródmieście. Osiedle jest nieduże — liczy wszystkich 460 izb (mieszka tu już około 800 osób) — ale to punkt wyjścia nowych, dalszych rozwiązań.

U wylotu miasta, na Kuźni, na wzgórzach panującym nad miastem w otoczeniu drzew — powstaje inne, duże osiedle o szerokim rozmachu i wielkiej perspektywie. Na ogromnej wielohektarowej przestrzeni staje kilkanaście dużych domów mieszkalnych, w których zamieszka ponad 2000 ludzi. Razem w Ostrowcu w ciągu najbliższego czasu 2800 osób zamieszka w nowych, skanalizowanych domach z centralnym ogrzewaniem, pełnych słońca, w otoczeniu zieleni, z przedszkolem, żłobkiem i wszystkimi urządzeniami społeczno-usługowymi — sklepami, klubem robotniczym, ośrodkiem zdrowia, terenem sportowym, przewidzianym programem dla tej wielkości założenia urbanistycznego.

Zanutnijmy to — w Ostrowcu 14 proc. ludności zamieszka do 1952 r. w warunkach, jakie stara się stworzyć Polska Ludowa klasie robotniczej. W Ostrowcu poprawiliśmy nieznacznie wskaźnik zagęszczenia mieszkań. W osiedlach wypada 1,7 osób na izbę. Na całe miasto 2 osoby na izbę. To już krok naprzód.

REWOLUCJA DROGĄ ZARZĄDZENIA

Zasiadając do tej relacji z wyścieczki zorganizowanej przez ZOR po nowo zbudowanych osiedlach — postanowiłem unikać cyfr. Ciągłe wydaje mi się, że piszemy coś w rodzaju odsyłaczy do nowych wydań Matego Rocznika Statystycznego. A przecie to co się dzieje, nie da się zilustrować cyframi choćby najbardziej wymownymi. Kapitalizm zabił w nas wyobraźnię, którą teraz okres budowania fundamentów socjalizmu powinien wyzwolić. Więć z innej beczki.

„Kraków. „Znasz li ten kraj?” — „Wielki Kraków!” W zestawieniu tych słów był kontrast, który budził śmiech. O co chodziło? O stopienie gmin okalających Kraków i wcielenie ich w miasto. To była myśl, do której urzędziwistnienia dążył Leo przez szereg lat z wytrwałym uporem. Łatwo było z tego żartować: czyż mały Kraków powiększy się, czyż urośnie przez to administracyjne przesunięcie granic? A jednak tak. Rzecz była dla Krakowa kwestią wprost życia. Jak wspominałem, jednym z kaleców Krakowa było sztuczne zdużenie go w strefie „fortecy”. Udać się do rozwoju przedmieść... Forteca ta nie miała od dawna żadnej wartości strategicznej, ale tępy konserwatyzm austriackich generałów bronił jej uparcie. Trzeba było wleźć starami i walki z szyskanami, nim Leo zdołał uzyskać zniesienie fortyfikacji, a tym samym wolny oddech dla peryferii Krakowa. Natychmiast z ogromnym impetem zaczął wytyczać plany owego „wielkiego” Krakowa... wystarczy przejść po ślicznych dzielnicach powstałych w dawnej fortecznej strefie, gdzie przed niewielu laty jeszcze były ogrody warzywne i ugory, aby zrozumieć znaczenie jego czynu dla Krakowa. Dał miastu ramę dla przyszłego rozwoju na lat sto. „I w tym oryginalność, że nie napór życia stworzył te nowe dzielnice, ale że raczej wartości duchowe miasta, obudziwszy ambicję jego gospoda-

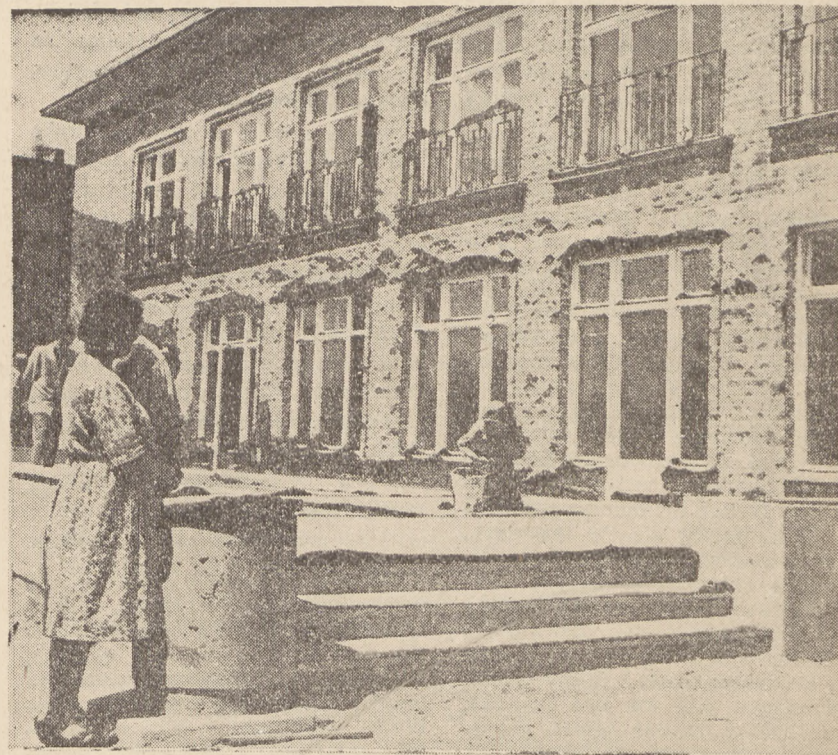
le ulice i bulwary w pustce...” — pisze Boy.

A Marks mówi: „Ulepszenie” miast towarzyszące wzrostowi bogactwa a polegające na burzeniu źle zabudowanych dzielnic, na wznoszeniu pałaców dla banków i domów towarowych, na poszerzaniu ulic dla ruchu handlowego i dla zbyt licznych powozów, na zaprowadzaniu tramwajów konnych itd., zapędza oczywiście biedaków do zaułków coraz niedźniejszych i coraz gęściej zatłoczonych... Plaga mieszkaniowa do tego stopnia dotrzymywała kroku rozwojowi przemysłu, akumulacji kapitału, wzrostowi i „upiększaniu” miast, że sama obawa przed zakaźnymi chorobami, które i „porządnego” towarzystwa nie oszczędzała, powołała do życia w latach 1847 — 1864 aż 10 parlamentarnych ustaw sanitarno-policyjnych... (Kapitał t. I, str. 710—711).

Przebudowa Krakowa nie była wynikiem naporu życia — przynajmniej Boy. Ale to sytuacji biedaków nie zmieniło. Bo — dodaje Boy: „Z czego miał się cieszyć mieszkaniec Zwierzynca, że odtąd jego prastara dzielnica miała się nazywać Kraków XIII? Z czego miały się cieszyć Grzegórzki, że będą się zwąły Kraków VII czy IX? To pachniało przymusem bruków, szkół, kanalizacji, powiększeniem podatków...”

Dobry, mądry, Boyu! Jakżeś to dobrze rozumiał. Trzeba pojechać dziś na przebudowane Grzegórzki, zobaczyć nowe wielkie osiedle mieszkaniowe, które tam powstało, zajrzeć do mieszkań, wejść na chwilę do przedszkola, żeby zrozumieć, jak papierowa i bez znaczenia była dumna decyzja prezydenta Leo.

(Dokończenie na str. 10-ej)



Budynek przedszkola na osiedlu Planty w Radomiu

WIKTOR WOROSZYLSKI

DO INŻYNIERA

Na dachu — postój. Wokół — młotów kanonada, transporterów gwizd. Budowa wzbierała przypływem. Ale ja, zamiast na dół, na was, inżynierze, patrzyłem.

Sami wiecie, u nas często niedobrze o inteligencji się mniema: „Inżynierowie? Potrzebni, owszem, Ale ufać im — naiwnych nie ma.

Przed wojną — rączkę podawał im Geyer, po ramieniu poklepywał Wedel, jak do własnej skarbonki bez żenady sięgając po ich talent i wiedzę.

Teraz — nam niby służą, a jakże, ale i to nie zawsze wygląda różowo... „O tym wszystkim myślałem, patrząc na waszą twarz wzruszoną.

Małomówny z was człowiek. I teraz milczeliście. Czoło przecięły zmarszczek koleiny. I wtem:

„Wiecie, zastanawiam się — co to jest szczęście i dlaczego ja się czuję szczęśliwy?”

Wracaliśmy po rozchybotanych kładkach, przeskakiwaliśmy zwały rur, nachylaliśmy się pod przewodami. Nowy tor, niby rzeki powierzchnia gładka, migotał w oddali.

Ogromny dźwig, powiewny jak wałka, przefruwał przez powietrze rozedrgane. (...Myślałem: dwie głowy — sekretarza Partii i wasza, schylone nad harmonogramem.

Myślałem: zebranie produkcyjne załogi, spoglądając w tysiąc żreń skupionych, mówicie — i czujecie, że tego, co im jest drogie, już i z waszego serca nikt nie wydrze.

Myślałem: oto montaż nowych maszyn, podchodząc do nich — nagle błysk w oczach — i tylko jedno słowo rzucacie: „na s z e”, otulone w uśmiech dumnego ojca.

Myślałem: wy w zadumie przy mapie — zieleni się rozległa ojczyzna ziemia! — tak, ledwie tu skończycie, znów ruszycie szlakiem budowy nowego, nieustannego tworzenia...

...Już po południu. Ciężki cement równo zastęgał. Lśniła blacha, jak nieba płaszczyzna, deszczem wymyta. Ale cała budowa nadal wrzała jak tygiel w pracowni olbrzymiego alchemika.

„No, więc tak właśnie fabryka się rodzi — szorstko mruknęliście. — Na dzisiaj dość”. Skinąłem głową. Myślałem

o młodym socjalistycznym narodzie, który starym inżynierom też pozwolił powtórnie zaznać młodości.



Tak wygląda osiedle w Bykowiecu na makiecie



...a tak fragment rzeczywistości

MIECZYSLAW JASTRUN

PIĘKNA KSIĄŻKA PŁOMIENIE

Każda antologia jest zawsze jakąś sumą, obrachunkiem z tradycją, jest zawsze wyrazem poglądów estetycznych i społecznych, panujących w pewnym okresie. Wszystkie jedno, czy antologia ta obejmuje utwory współczesne, czy dawne.

Popularna w latach międzywojennych (wydana w r. 1930), antologia poezji polskiej „Od Kochanowskiego do Staffa” nie tylko białymi plamami naznaczyła wszelkie utwory rewolucyjne, wolnościowe, ale nawet większość wierszy o charakterze obywatelskim i niepodległościowym wyrzuciła za swój „próg estetyczny”. Wiele natomiast miejsca zajęły w niej utwory religijne. Skrzywiony w ten sposób obraz poezji polskiej odpowiadał pojęciu tak zwanej czystej poezji, wolnej od brudów ziemi. Nie było to zjawisko przypadkowe. Okres imperializmu międzywojennego miał własną, bardzo zmienną, estetykę. Wydana w tym czasie antologia poezji niemieckiej (Die schönsten deutschen Gedichte, Phaidon-Verlag, Wien, Leipzig), obejmująca utwory od IX wieku po okres ostatni, nie zawiera ani jednego wiersza o treści polityczno-społecznej. Heine reprezentowany jest w niej wyłącznie wierszami miłosnymi, Schiller sentymentalną liryką; z poezji rewolucyjnej, komunistycznej — dość bujnie rozkwitłej w Niemczech przedhitlerowskich, ani śladu. Cała antologia zrobiona jest pod kątem widzenia ciasno pojętej estetyczności, podzielona na rozdziały według gatunku stylów. Z równą starannością wytrzebione zostały akcenty rewolucyjno-społeczne poezji światowej z antologii „Die schönsten Gedichte der Weltliteratur” w tymże wydawnictwie. Można by mnożyć przykłady. Ograniczając się do typowych, chcę zaznaczyć, że wszystkie tu omawiane antologie są bardzo konsekwentnie ułożone, ze jednostronnością ich, mającą tak niewątpliwą wymowę polityczną, tworzy zgodną pod względem treści i formy całość.

Antologia, jeśli ma być czytelną, musi być w jakimś sensie jednostronna. Wymowa poszczególnych wierszy zależna jest w antologii od kontekstu. Postawione obok siebie utwory różnych treści i stylów, jeśli nie łączą ich żadna idea przewodnia, kłóca się ze sobą, osłabiając wzajemnie swą indywidualną wymowę. Najczęściej wielcy i wielostronni poeci w takim zgromadzeniu wierszy tracą siłę swego głosu, mniejsi i wężsi — zyskują.

Tak też stało się z książką, zredagowaną przez Jana Kotta i Adama Ważyka*). „Ta książka — pisze w przedmowie Ważyk — jest przeznaczona dla dzisiejszego czytelnika — do codziennej lektury. Ułożyliśmy ją, wybierając z poezji polskiej od Renesansu do lat 1917-18 wiersze, w których widzimy najwyższą cząstkę tradycji. Nie będzie to więc obojętny przegląd poetów, ani pogłówna charakterystyka okresów literackich. Wybraliśmy wiersze, które lubimy — postępowe, światłe, burzliwe, przekazujące nam w najbardziej dojrzałym doświadczeniu poetyckim doświadczenie społeczne i ludzkie swoich czasów, wiedzę o życiu, obyczaj, kulturze. Przeszłość nagromadziła dziedzictwo, w którym trzeba zagospodarować się na nowo w myśl poznawczych i humanistycznych celów poezji. Trzeba sobie wskazać, co powinniśmy cenić z przeszłości, aby nowa, socjalistyczna kultura mogła znaleźć stałe oparcie w dawnym doświadczeniu poezji narodowej”.

Tak więc, myląc nieco czytelnika tytuł: „Wiersze, które lubimy” nie ma być jedynie wyrazem osobistych gustów redaktorów antologii i mogłaby ona nosić tytuł: „Wiersze, które powinniśmy lubić”. To obowiązują, nawet jeśli przyjmujemy, że gusty obu redaktorów nie są obowiązuje. Książka jest ułożona bardzo inteligentnie, jest piękna, jest książką naprawdę do czytania, przejrzystą i pełną wdzięku. Otwiera ją wiersz Reja: „A niechaj narodowie wzdry postrojni znają”, zamyka Leopold Staff, nestor poezji współczesnej, apostoła do robotnika, napisaną w r. 1905. Okres Renesansu wypadł może zbyt blisko ze względu na szczupłość doboru. Pełniej i

*) Jan Kott i Adam Ważyk. „Wiersze, które lubimy”. Warszawa, Czytelnik, 1951, str. 342.

wymowniej — barok, dzięki dobremu wyborowi z Morsztynów i Wacława Potockiego. Zławsza niedoceniona, znakomity autor „Wojny Chocimskiej” przemawia ze stronic antologii niezapomnianymi wierszami: „Wojna ludzi nie rodzi”, „Niechaj śpi pijany” i kilka innych. Nie dość znany wiersz: „Niechaj śpi pijany” niech mi tu wolno będzie przytoczyć:

Spi świat pijany winem,
zamrużywszy oczy;
Nalewa babilońska swacha, czart
go toczy.
Spi świat, równie martwemu,
opiwszy się, drzewu,
Winem z prasy bożego na swe
grzechy gniewu.
Diabeł na warcie, żeby nikt nie
budził, stoi;
Grozí palcem z daleka, psów
nawet popoi,
Najpierw im toż wino
postawiwszy w wierze,
Żeby spali, nie szczekał żaden na
katedrze,
Albo niezrozumianym głosem,
Chcełby pyska
Uchylić który, chleba po kawałku
eliska.
Niechżeby który krzyknął jako
ogar w borze;
Heretyk! Zamurować na śmierć go
w klasztorze —
Albo ściąć, albo spalić! Tak
smaczny sen światu
Przerywać? Niech z paszczki swej
sprawi się katu!
Gdzie drudzy syrenami
przyśpiewują z lekka,
Przygrywają, żeby spał tym
smaczniej — on szczeka.

Ten protest przeciw uciskowi, ten wiersz pełen gryzącej ironii, w którym Rzym katolicki, owa „babilońska swacha”, kuma się z czartem, wiąże się z jadowitymi wierszami poetów Oświecenia. Bohomolec, Zabłocki, Węgierski i wiersze anonimów występują z kart książki w całej pasji i jadowitości.

Na doborze utworów z tego okresu znać lwi pazur Kotta. A jednak i tutaj są braki niezasadne.

Nie wiadomo dlaczego nie zamieścili redaktorzy świetnych satyrycznych wierszy Trembeckiego i Krasińskiego oraz Naruszewicza, ograniczając i zważając rolę tych poetów. Zbyt jednostronnie potraktowani zostali Franciszek Karpiński i Niemcewicz, których reprezentują wyłącznie utwory sentymentalne. Wielki rewolucjonista Jakub Jasiński wypadł bardzo blisko. W rozdziale romantycznym nie bardzo szczęśliwym rozwiązaniem było zamieszczenie dwóch małych fragmentów z „Marii” Malczewskiego. Brak wiersza Gosławskiego o dekabrystach.

Jeśli drugorzędni poeci romantyczni reprezentowani są w Antologii trafnie dobranymi utworami, nie podobna zgodzić się na wybór z Mickiewicza i Słowackiego.

Nie wystarczy uprzedzającą te zarzuty wzmianka w przedmowie: „Z Mickiewicza i Słowackiego braliśmy już nie te wiersze, które po prostu lubimy, bo książka rozrosłaby się nieproporcjonalnie, ale te, które lubimy najbardziej”.

Czytelnik właśnie się dziwi, że redaktorzy tylko te wiersze z naszych największych poetów lubią najbardziej i chce wiedzieć, dlaczego prymat dają piosence z twórczości poetów wielkiego formatu i ciężkiej wagi.

Nie ma tu „Ody do młodości”, ale jest marginesowy utwór „Pieśń Filaretów”. Nie ma „Reduty Ordona”, jest natomiast piosenka Feliksa z „Dziadów”.

Wiersz „Do przyjaciół Moskali” nie jest dość silnie umieszczony, w odpowiednim kontekście, traci też swoją potężną wymowę. Gdyby redaktorzy po balladzie „Ucieczka” zamieścili byli „Farysa”, lepiej tłumaczyłoby się dwa wybrane przez nich sonety krymskie.

Ani szerokość ani potęga Mickiewicza nie zostały w tym wyborze ukazane. To samo mniej więcej dotyczy Słowackiego, dla którego wielkich syntez społeczno-politycznych nie znaleźli redaktorzy miejsca, pierwszeństwo dając liryce indywidualistycznej Słowackiego, bez który-

rej ten poeta nie jest do pominięcia, ale krótkie wiersze o charakterze społecznym, zamieszczone przez redaktorów, nie reprezentują dość silnie jego rewolucyjnej twórczości lirycznej. Genialne „Uspokojenie” nie ma podbudowy w „Odpowiedzi na Psalm Przyszłości” i w „Grobie Agamemnona”. Opuszczenie tych utworów można tłumaczyć jedynie niechęcią składaczy Antologii do wielkich form, ich pociąganiem do drobnego mistrzostwa. Nie ma w tym zresztą konsekwencji, i to odbija się ujemnie na całości. Jeśli się zamieszczą Norwida „Bema pamięci rapsod żałobny” i „Johna Browna”, jeśli się wskrzesza z niepamięci silną w wyrazie „Barykadę” Kazimierza Tetmajera i przypominą „Branke” Niemcewskiego, to — proszę mi wybaczyć, nie widzę w takim wyborze konsekwencji, gdyż utwory te nie tłumaczą się w ciągu ideowym i artystycznym poezji polskiej bez „Reduty Ordona” i „Odpowiedzi na Psalm Przyszłości”. A przecież o ukazanie tego ciągu chodziło redaktorom. Razi również brak utworów poezji plebejsko-mieszczańskiej.

Jaka jest przyczyna tej niepełności? Myślę, że tytuł książki tłumaczy ją w pewnym stopniu. Wprawdzie nie daje ona obiektywnego i pełnego obrazu poezji polskiej w ciągu stuleci, ale brak ten wynika z konieczności, gustem w doborze, jasnością układu. Z tych względów niektóre utwory uległy skróceniu. Książka jest, zwłaszcza w zakresie drobnego mistrzostwa, książką mogącą mieć duże znaczenie wychowawcze. Przypomina ona nie tylko, że mieliśmy obok wielkiej również dobrą i świetną poezję, ale także zmienia proporcje ustalone przez szlacheckich i burżuazyjnych badaczy literatury, wydobywa zapomniane przez nich w zapomnienie rewolucyjne utwory, w blasku poezji wprowadza do „arki przymierza między dawnymi i młodszy mi laty” utwory, które wyrosły z walki, pieśni gminnej i piosenki więziennej, jak np. wstrząsający „Mazur kajdaniarski” Ludwika Waryńskiego i buntowniczy utwór Sienieńskiego o Koscie Napierskim. Cenną pozycją są sonety Józefa Dunin-Borkowskiego, którego wiersze Ważyk wybrał poza tym w osobnej, poprzedzonej wstępem, książeczce. Zaskakuje żywotność swego wyrazu poetyckiego Jan Prusowski, prawie dosłownie zapomniany, przypomina się Ryszard Berwiński swoim „Marszem w przyszłość”, niby Majakowski naszego późnego romantyzmu.

„Pod żelazną kark obreza
Purpurową zaszedł tęczę —
Niegdyś wolny kark.
A tam ziemia obiecana,
Bez tyrana i bez pana,
Pod zarządem bożym,
Czeka ona za morzem
Krwí!
Za czerwonym morzem!

Syrokomla i Lenartowicz ukazani zostali w utworach, które prostują błędne, jednostronne pojęcia o ich twórczości. Nic — z nudnego, zaściankowego Syrokomli, nie — z okliwego, fałszywie ludowego, Lenartowicza. Syrokomla — zjadliwy i cięty — niby polski Niekrasow. Lenartowicz — bez osłon niebieskich.

Również Bohdan Zaleski i Wincenty Pol pokazani są z najlepszej strony. Znalazło się w tej książce miejsce nawet dla Deotymy, ale najlepsza wola redaktorów nie została uratować jej dla poezji polskiej. Niezrozumiałością natomiast jest nieobecność Felicjana Faleńskiego.

Wertując Antologię, która na swych trzystu zaledwie stronicach zawarła cztery wieki poezji polskiej, ledwie dostrzegamy te braki. Doznajemy prawdziwej radości, że tyle racjonalnych, potocznych, ludzkich treści jest w tej książce. Aby taką całość złożyć, trzeba było pewne okresy zredukować, nie licząc się z opiniami dawnych historyków literatury i z przebrzmiałym rozgłosem niektórych poetów. Dotyczy to przede wszystkim Młodej Polski. Ale nawet z tego trudnego okresu wyszli redaktorzy nienajgorzej: Kasprzowicz, Tetmajer, Wyspiański reprezentowali się w książce celnymi utworami, które nie naruszają naczelną idei książki. Jest to bowiem książka, mimo braku i wzmiankowanego tu już zamilowania redaktorów do drobnego mistrzostwa, nasycona ideologią postępową, racjonalną, książką prawdziwie światłą.

Mimo ograniczonego pola widzenia przeprowadza ona rewizję tradycji, jest obrachunkiem z przeszłością. Nie daje oczywiście pełnego obrazu poezji polskiej w ciągu wieków, ale takiego obrazu nie da żadna pojedyncza antologia. Nie wątpię, że stać nas będzie i na inne. Jak na wydawnictwo o dość dużym nakładzie (20.000), noty i przypisy są za skąpe. Zarówno bardzo rozsądna, piękna, ale ostrymy skrótami napisana przedmowa, jak i enigmatyczne objaśnienia obliczone są na czytelnika zorientowanego w rozwoju poezji polskiej. Ale i ten, co nie pili „uczonej wody”, przyjmie ją wdzięcznym sercem.

Mieczysław Jastrun

JERZY PIÓRKOWSKI

(Fragment opowieści o Feliksie Dzierżyńskim z tomu zbiorowego, który ukazuje się nakładem Spółdzielni Wyd. - Ośw. „Czytelnik”).

Rozdział I

Z tłum wysunął się młody jeszcze mężczyzna z niesforne rozwianą czupryną.

Ludzie, dość szczerze wypelniający warsztatową salę, spoglądali na niego ciekawie. Niektórzy z nich, widząc przyjaciela i znajomego, zaczęli hałaśliwie klaskać w dłonie.

On w podziękowaniu skłonił głowę, jak to czyni zwykle zapasnik przed walką wobec zgromadzenia wielbicieli. Ruchem nie pozbawionym kokieterii odgarnął włosy z czoła:

— Ja tutaj, towarzysze — zahuczał głębokim basem — przychodzę od naszej ukochanej Polskiej Partii Socjalistycznej, która zawsze nam mówiła i mówi, że wszyscy Polacy, jęczący w moskiewskiej niewoli, są sobie braćmi. Jedną jest nasza matka — tutaj głos mu się z przejęcia załamał — i dzisiaj my wszyscy jej biedni, spętani synowie.

Tłum przysłuchiwał się mówcy. Mówił dość gładko, potocznie, do-

pomagając sobie w miarę gestykulacją rąk.

Ale gdy w końcu zamilkł na chwilę dla nabrania oddechu i na sali zapadła chwila ciszy, rozległ się czyjś głos, pełen nie tajonej złości:

— A jak ci fabrykant do spółki ze stółkowym gębę skuje, albo jak psa na bruk wyrzuci, to też będziesz się z nim bratał i ogonem kogoś merdał?

Wtedy cała sala ożyła. Zaszumiało od rzucanych półgłosem potakiwań, szyderstw, zapytań.

Spod okna ktoś zawołał: — Dajcie skończyć jednemu — potem niech drugi powie swoje...

Za nim coraz więcej głosów narpało na mówcę:

— Mów swoje, ale przedko!

Młody, jasnowłosy chłopak, stojący niedbale z rękami założonymi na piersiach, gwizdnął przeraźliwie, a gdy zebrani przycichli, krzyknął wyzywająco:

— Jakiś partyjny, to mów tutaj o nas, a nie o burżujach, albo niebieskich migdałach...

Mówcy krew nabiegła do twarzy. Z miejsca stracił panowanie nad sobą.

— Nie wierzysz mi? — zagrmiał. — A kto ja jestem — wyskrobał jakiś? Sroce wypadłem spod ogona? Przyjrzyj się, a dobrze — odsunął włosy opadłe znowu na czoło w dzisiejsze moje ślusarskie ręce? — Rozcapiężył obie dłonie sekate, pokryte jeszcze resztkami smarowidła.

— Chodź, Piotrowino bosa, chodź niewierny Tomaszu. Jeśli nie wywrzysz — poczuj swojego po robotniczych rękach!

Zamilkł na chwilę, aby zacząć oddech. Wtedy z głębi warsztatu, spod okna, ozwał się ten sam głos:

— Ale nie po głowie... Gdzieś z drugiej strony bzyknął zaraz chichot.

Ludzie odetchnęli swobodnie. Rozglądali się wokół, co prawda wyczekując i milczkiem, ale już coraz częściej uśmiechali się porozumiewawczo.

Tymczasem mówca zaperzył się nie na żarty.

Natychmiast ten sam głos, wyraźnie rozradowany, odkrzyknął ukrytą drwiną:

— Czego chcesz od głowy? — Oleju do niej nalać, bo wyschło!

ANDRZEJ MANDALIAN

TOWARZYSZOM Z BEZPIECZEŃSTWA

W pokoju,
gdzie gołe kąty
świeciły pustkami —
nie działa,
nie granice,
nie linie frontów,
tylko biurko ich rozdzielało;

W pokoju,
gdzie dużo palił,
a mówili
niechętnie i mało,
i każde pytanie
paliło,
i każda odpowiedź kłamała.

Serce krzyczało:
„Patrz,
patrz w oczy”,
a majorowi
chciało się spać —
tyle nocy,

niedospanych,
mętnych,
popłatanych,
od dymu ciasnych,
— „wyprowadzić” —
rzekł konwojentom
i zasnął.

Spij, majorze,
świt niedaleko,
widzisz
księżyc zaciąga wartę;
szósty rok już nie śpi Bezpieka,
strzegąc ziemi
panom wydartej.

Brnęła noc
przez serce,
przez rżyska,
kolejami się snuła,
po torach,
i przyszedł towarzysz Dzierżyński do towarzysza majora.

Z krzesła zrywając się,
patrząc,
(przecież twarz te z dzieciństwa znał),
major stanął na baczność
i słów nie potrafił znaleźć.
Barki zarzętwiały
ból ciał,

tętno waliło w skroniach.
— „Towarzyszu Dzierżyński?
Pozwólcie.
Opowiem o nas
Chyba chcecie wiedzieć
jak dzisiaj,
jaki: sprawy
i jakie troski?
Zwyczajyliśmy, towarzyszu,
nową
budujemy Polskę.

Z gruzów,
z ruin
rośnie budowa
robociarz rządzi,
kolejarz,
hutnik.
Towarzyszu,
wam tylko powiem,
jakże bywa tu czasem trudno:

jeszcze wróg
do końca nie uległ,
jeszcze w owczej
chowa się skórce,
jeszcze siedzi na miedzach kułak,
w czarne grunty łapy zanurzył,

jeszcze gnieździ się
różna swolocz
po zapadłych,
ciemnych powiatach.

— „Ale wy musicie podolać” —
rewoluje nam powiada.
Podolamy,
choć nie z żelaza,
przecież po to jesteśmy na ziemi;
naszej Partii,
naszej klasy,
nigdy w życiu nie zawiedziemy”.

Dzierżyński patrzył:
jakże ojczysta
noc
za oknem
drzewa kołysze:
„Cóż, jestem stary czekista,
a zazdrościsz wam,
a zazdrościsz wam,
towarzyszu.

Zazdrościsz wam nocy łódzkiej,
tej,
na Piotrkowskiej,
i tej w oczach
znajomej,
ludzkiej,
niespokojnej bezpiecniackiej troski”.

Zamilkł,
opuszcł ręce,
nieuchwycił się,
prosto,
bez żalu:
„Wiedcie,
wtedy,
gdy nawaliło serce,
to właśnie widziałem...”

Major pięści zaciska,
a pięści ma mocne, ciężkie,
i idzie Feliks Dzierżyński z majorem
przez gmach Bezpieczeństwa —
„To właśnie widziałem” —
echo na piecach krzyczy,
przeć zgnieczone ciała
wyciągają się wartownicy.

Oczy otwarte na oścież,
ramię obok ramienia,
ludzie z krwi i kości,
ludzie z prawdziwego zdarzenia.

Major obudził się,
stał,
zadzwońił,
kazał wywołać,
i znowu padały pytania,
i znowu kłamała odpowiedź.

Słowa milczały,
szywane,
i myśl urywała się raptem,
lecz nawet z tych negatywów
major wywołał prawdę.

„To właśnie widziałem” —
echo powtórzy,
i teraz
biurko,
co ich rozdzielało
najeży się kłami papierów.

Notuj, majorze, notuj,
szukaj, majorze, nici,
żadna brunatna holota
nie powstrzyma naszego życia.

Stary przed tobą wróg,
szpieg i kret,
ty go w garści masz,
myślą myśl zakłamaną pruj,
słowo każde na dłoni waż.

Za nim wojen wodorowych mil,
dolarami mu kieszeń dźwięczy,
a za tobą jesteśmy my,
nas, majorze, o wiele więcej.

Cóż więc z tego,
że jeszcze dość ich,
że morderstwa szukających atomy,
my ojczyznę naszej młodości
nie oddamy nigdy nikomu.

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

W 25 ROCZNICĘ ŚMIERCI

Feliksa Dzierżyńskiego

ukazały się:

FELIKS DZIERŻYŃSKI — WIELKI SYN NARODU POLSKIEGO
(Wydawnictwo ilustrowane)

Aleksander Zatorski — O FELIKSIE DZIERŻYŃSKIM

Leopold Lewin — POEMAT O FELIKSIE DZIERŻYŃSKIM

Wkrótce ukaże się:

Wydawnictwo świetlicowe o Feliksie Dzierżyńskim.

K 1206-0

U S T A J A C Y

Teraz już niczym niepomohomany wybuch śmiechu zahuczał wokół.

Robotnicy śmiali się szeroko, niektórzy zafacali się jak p.iani. Śmiali się siwi majstrowie i gołowasy terminatorzy.

Slusarze i kowale, maszyniści i palacze, kotlarze i blacharze — ci wszyscy, którzy stanowili załogę kolejowych warsztatów naprawczych na dalekim, warszawskim przedmieściu — Bródnie.

Autorytet mowy przysł od owych jednych pokrzykiwań jak bańka mydlana. Neforunny pyskacz cisnął więc ze złości własnym kaszkiem o ziemię.

Ale śmiech zebranych trwał niedługo.

Czerstwy jeszcze staruszek, który stał badając najbliższą niefortunnę mowy i z zadowoleniem drapał się w brodę podczas owej słownej utarczki, nie spuszczał ani na chwilę swych chytłych, wierzących jak świder, oczek ze smukłego, wysokiego mężczyzny, który przed chwilą tak skonfundował mowcę.

Gdy tylko śmiech przycichł, on z kolei rozdarł się na całe gardło: — Takis mądrala, to teraz ty pokaż, co za ole masz w głowie: z makowych łebków czy z rzepaku?

Wyciągnął suchy, zakrzywiony palec w kierunku pokrzykiwacza. Ale tamten nie stropił się ani na chwilę. Rozrzucił szerzej połę marynarki, ugiął nieco nogi w kolanach i przekornie się uśmiechnął:

— A może, dziaduniu, razem spróbujemy? — zagadnął wesoło.

Staruszek trochę się przestraszył. Gniewnie błysnął oczkami zza okularów.

— O mnie, starego, nie kłopotz się, nie martw. Już ja swoje powiem i tobie i wszystkim, ale ty — przejęcia prychnął śliną, aż najbliżsi usuneli się nieco, a wokół utworzył się wąski, pusty krąg — ale ty tutaj się nie wykrecaj, nie zagaduj, tylko mów, jak innym nie dajesz!

Te słowa trafiły do przekonania zebranym.

— Mów, mów! — zahuczało wokół.

Feliks, on to był bowiem, tylko na to właśnie czekał. Zaraz, przeciskając się przez zebranych, rażno powędził do przodu.

Odrzucił przez zwarty, ciekawie obserwujący go spojrzeniami, tłum postanowił, byskawicznie jak zawsze, nie politykować, nie mówić gorzko, ale od razu uderzyć, jak obuchem w łeb: cała prawda.

Ich prawdę. Zdawał sobie sprawę, iż pierwszy atak był zawsze najtrudniejszy.

Teraz znał nieźle. Bywał już tutaj niejednokrotnie, słuchał wszystkich i wszystkich pilnie. Notował mądrzejsze twarze, rozważniejsze słowa. Na pierwszy rzut oka PPS królowała tutaj niepodzielnie. Ale było to dmuchanie w puste fanfany. Działała bowiem jedynie garstka krzykaczy i gadulów nadających pozornie ton wszystkim. Ale właściwa masa była ciągle jeszcze niezdeterminowana.

Zamknięta w sobie, nie wypowiadająca swego zdania, przypatrywała się i przysłuchiwała pilnie. Drżała. Ale do czasu. I tutaj zakłamała i tutaj wkładała się coraz silniejszy niepokój.

Ostatlosy mandzurskich bitew i kłęk caratu dochodziły również nad Wisłę.

Ludzie chcieli na gwałt zrozumieć wszystko: swoją dotychczasową nędzę i wyzyk i śmierć tysięcy, i owe dziesiątki tysięcy tkwiące w dalekowschodnich okopach. Taka chwila nie przychodziła często.

Feliks więc milczał zbierając myśli i uśmiechając się do ludzi po swojemu. Przepalał ich ogromniejącym, zdołał się, oczami.

Spojrzał i na staruszkę, który nie spuszczał z niego zagniewanego wzroku.

— O czym, ojcie, chcecie, żebym mówił? — zapytał przekornie.

Staruszek z zastanowieniem popatrzył na Feliksa. Potarł ręką brodę w zamyśleniu, pokiwał głową.

— Patrzcie, jaki spekulant — zdziwił się, ale zaraz złośliwy uśmiešek pojawił mu się na ustach. — Jakes taki mądry, to sam musisz wiedzieć, co ludziom leży na sercu! — wykrzyknął.

Wymiana przed chwilą mowca spojrzał na Feliksa z pogardą:

— Co taka białorączka może wiedzieć? Jak naród okłamywać — to wszystko.

Feliksowi od razu twarz pociemniała z gniewu.

— A od kiedy ty taki od czarnej roboty? Odkąd ludzi poganiasz?

A do staruszka łagodniej, hamując się w nagłym porwy: — Nie każdemu te same kłopoty leżą na duszy, dziadku. Ale tu — rzekł do zgromadzonych, obrzucając ich czujnym wzrokiem — tutaj wam powiem, co was gnębi i niepokoi, co na sercu leży jak kłoda, o czym chcecie wiedzieć prawdę, całą prawdę, bez reszty — zatrzymał się na chwilę, jakby chcąc zacerpnąć tchu:

— Wojna...

Powiedział to słowo spokojnie, normalnym głosem, ale wśród ogólnej ciszy zahuczało ono echem, jak daleki wystrzał.

Ludzie zapanili oddech z ciekawości, zneruchomieli, jakby nagle znaleźli się w podmuchu zimnego, przeszywającego wiatru.

Tylko slusarz ze zmierzwiłą czupryną uśmiechał się z zadowoleniem.

— Zauważ, że Moskałom tam trochę juchy popuszczą? Nas to ani ziębi, ani grzeje... Jeszcze, jak trzeba, jak będzie można, swoje dołożymy...

Feliksowi krew napłynęła do twarzy:

— A kogo to ziębi czy grzeje — zapytał głuch — kto na tej wojnie ginie, krwawi i cierpi: car i jego sługusy, co nam kajdany kuja i w jarmie trzymają, czy robotnicy i chłopci, bracia nasi?

Wśród ludzi podniósł się pomruk głuchy, ale coraz powszechniejszy, lada chwila grozący wybuchem.

— Kto wam wrogiem, ludzie? — krzyknął. Głos jego był tak nabrzmiały, jakby wydarty spod serca.

— Czy lud rosyjski, który jak i wy w kajdanach głoduje i krwawi? Nie, po stokrót nie! On nam bratem we wspólnej walce — tutaj Feliks objął spojrzeniem całą zebraną, wpatrzoną w niego salę.

— A dlaczego? — zapytał. — Dlatego że mamy jednego wspólnego wroga, cara rosyjskiego, który nas gnębi i rzuca na żer kapitalistom, na żer wojnie, aby mlec jeszcze większe zyski, aby zaość nas w jeszcze cięższe kajdany...

Skrębiła się niewielka salka. Słowa Feliksa zdawały się być minami, które eksplodowały i oszalały, tak były niespodziewane, nowe i oczywiste. Mowca z pepesem nie zrozumiał tego od razu, ale instynktem wiedziony, wyczuł niebezpieczeństwo.

Mruknął więc na kilku najbliższych stojących — swoich kamratów.

— Na taczkę go! — syknął przez zęby i sam pierwszy rzucił się na Feliksa.

— Prowokator! — krzyknął. — Chłopcy, brać go!

Sala zamilkła nagle, zneruchomiała. Straszne słowo sparaliżowało wszystkich. Nie podniósł się żaden głos protestu.

Feliks był bezbronny. Oparł się błąd, o stół warsztatowy, pochwylił palcami imadło, spojrzał ponuro w oczy idącej bojówce.

— Tak? Od tego wam szerniały ręce — krzyknął głuchym, jakby umarłym głosem — od krwi własnej!

Tamten milcząc, rzucił się na niego pełen wściekłości. Zamierzając się szeroko, aby nareszcie trzasnąć tego człowieka o strasznych oczach i choćby w ten sposób zemścić się za drwinę, ale w tej samej chwili ktoś pochwylił go w twardy, żyłasty uścisk.

Dojrzał, zmieszany, rosnącego chłopca o jasnych, naiwnych oczach i pełnych, skrzywionych jak do płaczu, ustach. Patrzył on na niego pokornie, z widocznym przestrachem w oczach, ale wzięzionej ręki nie wypuszczał z potężnego uścisku, aż slusarz nie mogąc już wytrzymać boleśnie jęknął:

— Puść...

— Kiedy dziadzio kazał... — usprawiedliwiał się ze zmieszaniem młody robotnik. — Nie gniewajcie się, Kwiatek...

Ale już idący kompani pośpieszyli tamtemu z pomocą.

Kilka par rąk naraz oblało chłopca, usiłowało go ugiąć, a następnie przewrócić na ziemię. Kwiatek, złapawszy nieco oddechu, wierzgał także jak wściekły i krzychał:

— Stasiek, cholero jedna, puszczaj zaraz!

Ale Stasiek, do niedawna uczeń Kwiatka, otrząsnął się już z wrażeń, jakie na nim wywarł krzyk byłego pryncypała. Szeroko zamachnął ramieniem, złożył się pięścią i oto ręce napastników odpady od niego jak oparzone.

Ktoś w tej gestwinie ludzkiej boleśnie jęknął. Ktoś zaklął szpetnie.

Wtedy Stasiek chwycił z rozpaczliwą siłą Kwiatka za paś, poderwał go góry, uniósł na wysokość piersi i zastawił się nim jak tarczą, rzucając nadal trwożliwe, ale i na wpół szalone spojrzenia, jak osaczony niespodziewanie niedźwiedź.

— Dziaduś, ratuj! — krzychał przy tym co chwila.

Dziadusiem okazał się staruszek o złośliwych oczach. Spojrzał on teraz zajądła na zgromadzonych, podparł się pod boki i rozkrzychał piskliwym dyszkanckiem:

— To takeście socjaliści? Jak wam ktoś słowo do słuchu powie, to człowieka za to mordować chcecie?

— Nie człowieka, — ale prowokator! — krzyknął jakiś głos z gwardii slusarza.

— Taki on prowok, jak i ty! — odciął się staruszek. — Ale do tego on mądry — a ty głupi. Ty ludzi chcesz bić i mordować, naszych ludzi, a on chce — śmierci ukraść...

*) Prowok — prowokator.

A do obecnych zajądła:

— Zgadza się, chłopcy, czy nie, ale to wam powiem, że krzywdy mu nie dam zrobić, jakem Duleba, majster, dwadzieścia osem lat, chwala Bogu, nienajgorszy!

Wypął przy tym zuchwale do przodu swój wąty, nitkowaty tułów. A potem, obracając się do młodego osłka, który ciągle trzymał w powietrzu rżącego ze strachu i wściekłego Kwiatka.

— Postaw go, Stasiek, na ziemię, bo spodnie mu pękają...

Ale na obawy było już nieco za późno. Jednocześnie bowiem z ostrzeżeniem, rozległ się charakterystyczny szmer jakby rozdzielanego gwałtownie przecieradła, i spod pękniętych szeroko spodni Kwiatka wyrzuciła biel kałosów.

Sala, milcząca i zamarta, znowu zatrzęsała się od śmiechu. Stasiek, zaskoczony, postawił wreszcie Kwiatka na ziemię. Ten, z twarzą jak piwonla, chwycił się za spodnie i nieporadnie zakrywając rozdarcie, jał krzyżeć do swolch kamratów:

— Czego stoicie, jak osły? Chłopcy, brać go!

Ale nikt jakoś się nie kwapił. Dziadek Staśka poprawił tymczasem opadłe nieco okulary i przyjrzał się Kwiatkowi:

— Niby to fachowiec z was nie zgorszy, a powagi tyle, co u szczeniaka! — zapiszczał. — Eh, zbrydło mi już to wszystko, chłopcy. Dość tego dobrego na dzisiaj. Na święcie narody gina, ludzie głodują, chleba powszedniego nie mają, a wy tutaj — swojego chcecie jużzyć? Hahbić wszystkich nas i każdego z osobna? Stasiek! — krzyknął rozkazująco.

Młody olbrzym obciągnął poszarpaną i porzpinaną niedawnym szamotaniem kurtkę i spojrzał pokornie, jak psiak, na piskliwego dziadka.

— Chodź do domu, matka z obłędem czeka. Ostygnie!

A wy — zwrócił się do milczącego, trwającego cały czas w bezruchu, Feliksa i zajął mu w oczy trochę złościwie, trochę chyttrze — chodźcie lepiej z nami, bo tutaj niektórym wojacki się zachciewa. — Bysnął żywiej oczkami zza szkieł. — Stasiek, rób drogę!

I jego to szarpnął za rękę slusarz Kwiatek, który krył się teraz za plecami zebranych:

— Stuchaj, Duleba, tak odchodzisz, bez słowa? — zaczął pokornie.

Stary niby zdziwił się. Zatrzymał się od razu, poprawił starannie okulary i widać naumyślnie pisał na cały głos:

— A czego ci jeszcze, Kwiatek, potrzeba do szczęścia?

— A kto za spodnie zapłaci, płać za fagas! — krzyknął wściekły slusarz, którego na nowo zapiekło wspomnienie doznanego wstydu.

Przemknął ku ścianie, oparł się o nią, chcąc, widać, mieć wolne ręce.

Duleba, ku zdziwieniu obecnych, postąpił żywo za nim. Spytał troskliwie:

— A drogo by kosztowało, Kwiatek? Bóg widzi, nie chcę twojej krzywdy...

Tamten, jeszcze dysząc wściekłością, a jednocześnie zadowolony z tego niespodziewanego łatwego zwycięstwa, odpowiedział niedbale:

— Dwa ruble wystarczy. Dawaj — tylko prędko.

Robotnicy, ogarnięci ciekawością, znowu zbili się szczerze wokół nich.

Stary Duleba pokornie wyciągnął woreczek, wyтары i świecący jak lustro na skutek długiego już żywota. Otworzył go powoli, poprawił starannie okulary na nosie i począł troskliwie w nim grzebać.

— Przedzaj, przedzaj — naglił rozpromieniony Kwiatek nie odrywając się jednak przezornie od ściany. Ale stary, posperawszy w woreczku jeszcze przez chwilę, zamknął go nagle z trząskiem i wsunął na powrót do kieszeni.

— Nie, dalibóg — nie ma — oświadczył z westchnieniem. Chwile jakby medytował jeszcze. Nagle, rozradowany, stuknął się palcem w czoło i powiedział:

— Jest jeszcze jedna rada...

— Mów do diabła — wykrzyknął Kwiatek — nie będę przecieć ciągle stał przy murze...

— Nie będziesz, nie można tak — przyświadczył gorliwie Duleba — jeszcze choroba ci zapie...

I dlatego mówię ci: chodź! — wyciągnął zachęcająco rękę.

— Gdzie?

— Do mojej starej. Ona ci portki zaszyje, a przez ten czas — wychylimy na zgodę, dobra?

Rozczapierzył palce:

— I wilk będzie syty, i owca cała.

wesołość, krzyknął do nich z zadowoleniem:

— Szacher — macher, chłopaki, na dzisiaj mamy fajrant!

Przeszli przez obszerny plac, zawalony zardzewiałym żelastwem, wapnem i stosami świeżo tartych desek i wkrótce znaleźli się na wąskiej, cuchnącej uliczce warszawskiego przedmieścia.

Staruszek zatrzymał się tutaj na chwilę, pomedytował.

— A no — ożwał się wreszcie — chciałbym wam coś niecoś przysłać, panie agitatorze...

Feliks spojrzał na niego uważnie.

— Gadaście, póki wam nie pódziękuję.

— Ale nie tak, nie o suchej gębie. — Stary ostro spojrzał na uśmiechającego się beznadzie Staśka. — Ruszaj mi stąd!

— Gdzie, dziadzu? — zapytał pokornie.

— Jak to, gdzie? — Stary obruszył się. — Do domu, na obiad. Powiedz matce, że gościa jej prowadzi, niech wie!

Stasiek nacisnął mocniej czapkę na głowę.

— Lecę — oświadczył skwapliwie i ruszył wielkimi susami w kierunku wylotu uliczki. Duleba spojrzał w ślad za nim z nieukrywanym zadowoleniem.

— Młody jest jeszcze, niecierpiony, ale wyrabia się — mówił chępliwie. — Moja krew, moja krew! — Znowu zerknął na smagłego mężczyznę, stojącego tuż obok.

— A pogadać z wami, tak po naszymu, można? — zapytał znienacka.

— Można i dzisiaj i jutro. Zawsze można — odpowiedział Feliks.

— Ale tak, wiesz od duszy? — spojrzał mu badawczo w oczy.

— Tak od duszy.

— To dawaj rękę...

Z rozdziału V

Do Dulebą podbiegł chłopiec, terminator z kuźni.

— Ktoś z rodziny czeka na was przy bramie! — krzyknął piskliwie i zaraz cmychnął.

Duleba w pierwszej chwili sądził, że to żart. Nikogo się dzisiaj nie spodziewał. Ale po chwili otarł z grubszą ręką i dla pewności podreptał — bramie.

Tam od — dostrzegł Feliksa. Po nieprzespawanej nocy miał przegasta twarz z bolesną krechą wokół kącików ust, ale gdy podniósł na niego oczy, paliły się jeszcze żywiej i silniej, niż uprzednio.

— Bardzo was potrzebuję, Duleba — powiedział z miejsca otwarcie. — Nie od dawna was znam, co prawda, ale nie widzę innej rady! Musicie pomóc.

Staruszek spojrzał na niego ciekawie:

— Czego chcecie?

— Mówiłem wam: pomoc. Wiedzie, co się stało na Dworskiej?

— Wiem. To nasza...

Feliks przerwał:

— Tak, nasza drukarnia. Jeśli dzisiaj jeszcze nie zrobimy na jej miejsce drugiej, jeśli nowi ludzie nie staną do roboty... — zamilkł, przerażony ową perspektywą.

— Ale Duleba przypatrywał mu się wyczekująco, świdrował go, zda się, swymi małymi oczkami zza okularów. Więc po chwili dokończył ciężko.

— To pierwszego maja możemy ludzi nie wyprowadzić na ulicę.

Staruszkowi twarz zmieniła się raptownie:

— A to dlaczego? — spytał, jakby nie dowierzał.

— Bibuły nie będzie. Wszystko wpadło na Dworskiej, wszystko zabrali...

Chodźli po wąskiej, piaszczystej uliczce tam i na powrót. Teraz Duleba z wrażeń aż przystanął:

— To tam wszystko było?

— A tam...

Zastanawiał się przez chwilę:

— To jakie chcecie, żeby wam pomagać?

Feliks zaczął starym pilnie patrzeć w oczy:

— Mieszkacie macie dobre: ciche, spokojne, z dała od ludzi.

Duleba przytwardził:

— Zgadza się.

— No więc...

Staruszek strzepnął niecierpliwie ręką:

— O to mniejsza — powiedział.

— Pewnie, że miejsce dla was będzie, jeśli tylko chcecie. Ale tylko dla was — dodał z naciskiem.

— Obcych do domu w takich sprawach wpuszczać nie chcę...

Feliks uśmiechnął się trochę smutnie:

— Nie przyjdą tak z dnia na dzień, wierzcie mi — odpowiedział.

— Wierzę, wierzę! — staruszkowi z nagłego ożywienia poczerwieniały policzki. — A maszynkę macie?

— Jeszcze nie...

— To co? Ręką chcecie pisać?

Feliks spochmurniał jeszcze bardziej.

— Jest tylko kupa żelastwa ze starej bostonki...

Stary zainteresował się:

— Kupa części, mówicie?

— A tak. Leży to u jednego z naszych na strychu. Gdyśmy dostali nową maszynkę — to usunęliśmy zaraz truposza. Trochę dobrych części to by tam się może znalazło...

Duleba zamyślił się głęboko:

— Slusarza by trzeba, dobrego fachowca. Może by on coś z tym zrobił.

Spojrzał na Feliksa z natężeniem, ale nie wytrzymałszy jego wycze-

LEOPOLD LEWIN

Z „POEMATU O DZIERŻYŃSKIM”

(fragmenty)

Fo dziś dzień krok twój słyszą Warszawa i Kraków,
Po dziś dzień nas prowadzi twej walki pochodnia,
Natchnienie ludów świata i dumo Polaków,
Opoko naszej Partii i gwiazdo przewodnia!

Rycerzem Października zwa cię komuniści,
Plomiennym, czułym druhem — wierni przyjaciele.
Wykrzesaleś z żarliwych serc miłości wiele,
A z wrogich — wykrzesaleś tylż nienawści.

Kochali ciebie wszyscy, Różrzy lud kochali,
Którzy wierzyli w Partię, w jej sprawę zwycięską.
A wróg cię nienawdził, rozjątrzony klęską,
Dla któregoś był mieczem z bezlitosnej stali.

Dziś z kwiatów i z marmuru wznoszą ci piedestał
I twoją postać z brazu wdzięczni robotnicy,
Do których przemawiałeś w walczącej stolicy —
Lud Warszawy, co nigdy cię kochać nie przestał.

Marzyłeś o niej w mroczne, wierzienne wieczory,
Sny o niej rozwłóczyłeś po sybirskich szlakach —
Aż nadeszła — witana salwami „Aury”,
Mauzerów skandowaniem, odhlaskami luny,
Mężniejąca w czerwono-gwardyjskich atakach,
Prowadzona przez wiernych żołnierzy Komuny,
Do których w czapce więźnia wróciłeś w to rano,
Kiedy naród rwał tamy w niewstrzymanym pdzie;
I Komuna cię w pierwszym postawiła rzędzie,
Ciebie, którego orłem, lwem i mieczem zwano.

Jaka radosna дума, że w dniach wielkiej sprawy,
W laurowym wieńcu twórców i wodzów epoki
Lenina i Stalina — jest liść twojej sławy,
Że zgodnie z ich krokami dźwięczały twe kroki.

Rękę, która podcina młodych drzew korzenie,
Podpala pierwsze zbiory, szarpie magazyny,
W fabryce łamie tryby pędzące maszyny,
Na budowie rozluźnia cegły i kamienie —
Trzeba odciąć, ażeby rozkwitały sady
Kwiatami, owocami, uśmiechamj dzieci,
Żeby wezbrane światłem, grzmiące wodospady
Błyskały sygnałami w okna tysiącleci.

Dlatego byłeś mieczem karzącym, plomieniem,
Plomieniem, który spala i który oczyszcza,
Bo nade wszystko chciałeś zbudować zgłszcza,
Ożywić martwe pola siewnikowym brzęczeniem;
Wytrwał, mocne prześla ustawiać na rzece,
Przedłużać w przestrzeń tory polskimi stali,
By głodni kromkę chleba w porę otrzymali
I za

JANUSZ BOGUCKI

O GIERYMSKIM I NIEKTÓRYCH ZAGADNIENIACH PLASTYKI WSPÓŁCZESNEJ

Z autoportretu Aleksandra Gierymskiego, malowanego na rok przed śmiercią artysty, spogląda twarz mężczyzny w latach dojrzałości, nacechowana wyrazem tragicznego napięcia, wychudła, skupiona i niespokojna. Ow milczący niepokój wyraża przede wszystkim spojrzenie oczu uważnych, rozwartych szeroko, a patrzących z samotną beznadziejnością — niejako poprzez widza — w głąb świata, czy też własnego doświadczenia, którego sens i kształt oddala się obcy i nieuchwytny dla umysłu i oka artysty.

Ten późny wizerunek określa z całkowitą prawdą i szczerością stan głębokiego pesymizmu i wewnętrznej załamania, zamykający ostatni okres drogi życiowej Aleksandra Gierymskiego. Wyraża on jednak równocześnie tę nieustępliwą wolę i bezwzględność uczuciowości artystycznej, które cechują całe dzieło Gierymskiego zarówno w jego najtrwalszych osiągnięciach, jak w biedach i słabościach płynących ze społecznego osamotnienia. Wyraża on tragiczny bilans dążeń, jakże bliskich dzisiejszym dążeniom naszej sztuki. Wielki artysta mieszczański, zabłąkawszy się w sprzecznościach i powikłaniach swojej epoki i losu narodowego, nie zdołał w pełni zbudować i utrwalić realistycznej wizji współczesnego mu życia. Malarz dzisiejszy, związany ideologią i uczestnictwem z budową nowej epoki bytu społecznego i narodowego, o ile bliższe i prostsze powinien zdobyć doświadczenie z życia i sztuki — domaga się naszej odpowiedzi, domaga się jej słusznego dzisiaj, od artystów polskich, którzy realizację swych trudnych i ambitnych zamierzeń, wiąże między innymi z tradycją i doświadczeniem poprzedników twórczości mieszczańskiej. Spotkanie z Gierymskim jest wielką i żywą lekcją tego doświadczenia.

Szczególną sposobność do takiego spotkania daje nam jubileuszowa wystawa dzieł artysty urządzona w warszawskim Muzeum Narodowym. Sposobność szczególną nie tylko z powodu upływającej setnej rocznicy urodzin malarza, lecz przede wszystkim z uwagi na istotną wartość samego pokazu. Wartość tę widzę w trafnym, jasnym, a wolnym od niebezpiecznych uproszczeń, związaniu dzieł twórczości z warunkującym je odcinkiem historii społeczno-politycznej. Życie i prace Gierymskiego, — kolejne wzmaganie się i opadanie jego, sił twórczych, wynika przekonywająco ze splątania jego losów osobistych z losami epoki i narodu, własna, niepowtarzalna droga rozwoju artysty kształtuje się w logicznej zależności od układu prądów i zjawisk historycznych, od wpływu określonych środowisk.

Wykazanie tych związków i oddziaływań osiągnięte zostało środkami prostymi i dyskretnymi, bez przerostu efektów ekspozycyjnych

i nadmiaru pisanego komentarza. Zwięźle tablice informacyjne, ekran z fotomontażami i wybór dzieł malarzy współczesnych Gierymskiemu akcentują kolejne etapy jego życia i określają właściwe im zmiany sytuacji historyczno-środowiskowej. Materiał fotograficzny podany w gablotach zapoznaje widza z metodą pracy malarza opartej na sumiennych studiach przygotowawczych. Całość ujęcia ekspozycyjnego nie narzuca zwiedzającemu szczegółowych ocen i wniosków, lecz prowadzi do nich w przekonywający sposób przez słuszną ugrupowanie materiału malarskiego i umiejętnie rozmieszczenie rzeczowego komentarza, co czyni tę wystawę równie bliską przeciętnej publiczności muzealnej, jak miłośnikom sztuki i malarzom. Te zalety stanowią, jak się zdaje, wynik ostatnich rzetelnych studiów nad twórczością Gierymskiego, prowadzonych przez autora wstępu do katalogu, prof. Starzyńskiego, którego współpracownicy, A. Jakimowicz

i M. Porębski, opracowali scenariusz i przewodnik wystawowy. Mówiąc o organizatorach, zaznaczyć trzeba, że poważny wkład pracy organizacyjno-technicznej dało ze swej strony Centralne Biuro Wystaw Artystycznych. Historycy sztuki spełnili swoje zadanie, dając gruntowne przygotowanie badawcze, porządkujące i wartościujące naukowo dorobek twórcy wielkiego artysty. Jest z kolei sprawą malarzy i krytyków, poprzez omówienia, dyskusje i konkretną robotę przy sztalugach, związać ten dorobek z rozwojem twórczości współczesnej, włączyć go w ideologiczną i warsztatową pracę nad kształtowaniem sztuki realizmu socjalistycznego.

Pierwszy wniosek, który wynika z obejrzenia wystawy, dotyczy zasadniczego znaczenia, jakie dla rozwoju sił twórczych artysty ma związanie się ze społecznością narodową i z postępowymi nurtami jej życia. W życiu Gierymskiego doniosłość narodowej więzi społecznej rysuje się ze szczególną wyrazistością. Najwyższą dojrzałość zarówno ideo-

wą (realizm krytyczny), jak plastyczną osiąga on w dziełach datujących się z lat spędzonych w kraju, z okresu warszawskiego i krakowskiego. „Trąbki”, „Żydówka sprzedająca cytryny”, i wreszcie „Trumna chłopka” to niewątpliwie przykłady najpełniejszego wyzwoleń i skupienia sił twórczych. Dzieła, w których treść rodzima wiąże się z najbardziej własną, osobistą siłą i formą wypowiedzi artystycznej. Tej twórczej odrębności przeżycia i wyrazu plastycznego nie znajdziemy w „Ścieście włoskiej” i w „Altanie”, ani w obrazach paryskich, w których mistrzostwo malarskie cechuje pewna skłonność do przerosu problematyki estetycznej, bądź typu historyzującego, bądź też czarpanej ze źródeł francuskiej sztuki wrażliwości.

Obrazy warszawskie i „Trumna” to pozycje, których wielkość wspiera się nie tylko na związku z treścią rodzimą. Ma bowiem ona swe źródło w głębokim, humanistycznym współczuciu dla losu powszedniego i dla niedoli ludzkiej, wynikającej ze współczesnego układu stosunków społecznych. Tak więc rzetelny, bliski krytycyzmu, realizm w ocenie tych stosunków, oparty na obserwacji życia rodzimego, jest istotnym podłożem siły i oryginalności omawianych dzieł.

Oto zasadnicza podbudowa treściowa najcenniejszych dzieł Gierymskiego... To, co ostatecznie rozstrzyga o ich wartości, zawiera się w realizacji malarskiej, przynoszącej całkowite przetopienie przeżycia z poznawczo-emocjonalnego w wymowne elementy plastyczne. Rezultatem tego Gierymski nie osiągał łatwo. Wzięte na warsztat zadanie opracowywać latami, realizując je w najczystszej w kilku różnorodnych wersjach, poprzedzając pracę właściwą drobiazgowymi studiami fragmentów z których niejedno jest skończonym, samodzielnym obrazem. Precyzja i uporczywość tych przygotowań sprawiły, że w skończonym dziele nie było najdrobniejszych wycinka, którego by malarz nie zbadał wprzód, poprzez sumienne studium modelu, kostiumu, pejzażu i martwej natury. Od owych studiów do powiązania ich i scalcenia w końcowej kompozycji wiodła jeszcze długa droga, poprzez pracę nad obrazem, kryjącym się w warstwach farby, pełne mozołu i żarliwości dzieje zwątpień, decyzji, zmian i przemalówek. Bezkompromisowa rzetelność, siła woli, czujny krytycyzm wobec własnej pracy, nie dopuszczający żadnej niekonsekwencji czy nieumiejętności — oto współczynnikami działań twórczych Gierymskiego, dzięki którym głębokie doznawanie rzeczywistości zyskuje w dziełach jego siłę i trwałość prawdziwie wielkiej sztuki.

Doświadczenia tej sztuki są dziś dla nas szczególnie cenne z uwagi na podobieństwo trudności pokonywanych przez Gierymskiego z trudnościami, które przełamywać musi obecnie młode realistyczne malarstwo. Do trudności takich należy np. sprawa schematyzmu, istotne dla realisty niebezpieczeństwo zarówno dziś jak w II połowie ubiegłego wieku, jakkolwiek w każdym z tych okresów z innych płynące źródła.

Pokonywanie szablonu ideowego i artystycznego przez dzisiejszego, świadomego zadań swej sztuki, artystę wydaje się łatwiejsze niż w drugiej połowie zeszłego stulecia. Dzieje malarskie tego okresu mogą nas jednak wiele nauczyć i wówczas bowiem przodujący twórcy realizmu osiągnęli trwałą wymowę swych dzieł, przełamując szablony zamówienia społecznego burżuazji. Uderzali oni przede wszystkim realistyczną tematyką w zaskorupiały idealizm oficjalnej sztuki „pompierskiej”, w martwy, akademicki kult tematyki historycznej. Nie na tym jednak kończyła się walka z idealizującym schematem. Realizm krytyczny bowiem — rozwijający się podówczas na gruncie tematyki rodzącej — na tym właśnie gruncie spotykał się z wrogiem sobie mieszczańsko — filisterskim szablonem „ładnego”, wzruszającego obrazka, w którym mdły naturalizm i sentymentalizm przesłaniały wszelką istotną problematykę zarówno ideową — społeczną, jak malarską. Spójrzmy na „Święto Trąbek”. Jakże wielki malarz zrobiłoby z tego tematu uroczyste dziełko, radujące filistrów nastrojowym wycinkiem krajobrazu, zaprawionym pewną egzotyką obyczajową, zawartą w nieruchomych sylwetkach modlących się nad

rzeką Żydów. Przecież szukanie uroków pejzażowych wśród starych ruder, a ciekawych typów wśród niedzary wsi i miasta było podówczas w modzie. Życie ubogich, byle podane ładnie, gładko i z sentymentalnym nastrojem, było tematem malarskim dobrze widzianym: zacieśniało odmiennością znudzonego dostatkami widza, pozwalając mu jednocześnie doznać słodczy takiej

cenny przykład postawy i pracy malarza-realisty. Wskazuje on konkretne metody pokonywania zawsze żywych niebezpieczeństw schematyzmu i naturalizmu, zarówno w swoim stosunku artysty do otaczającej rzeczywistości, jak i w sposobie warsztatowego transponowania jej na wizję malarską.

Pogłębienie zdobyczy ideowych to przede wszystkim bliższy, bardziej realny i bardziej precyzyjny związek artysty z konkretem życia społecznego. Postulat ten ma swym odpowiednikiem warsztatowy, a realizując go wiele można skorzystać z doświadczeń Gierymskiego, który nie poprzestawał na notatkach i szkicach, lecz długo i wytrwale sondując opracowywany temat pogłębiał go szczegółowymi studiami fragmentów zamierzonych kompozycji. Realizował ją (tak często w kilku wersjach) wydobywając z każdym razem nową wartość z podjętego tematu, pogłębiając wymowę treściową i precyzję wyrazu artystycznego. Patrząc na tę metodę ściśle związaną z postawą ideową malarza realisty, trudno nie zauważyć, że spośród naszych artystów bardzo chyba niewielu próbuje pod tym względem wykrzysnąć w pełni doświadczenia Gierymskiego. Przeciwnie, większość naszych prac malarskich zdradza jeszcze pośpiech, pobieżność, brak ugruntowania w poważniejszych studiach tematu.



Aleksander Gieryski
Pomarańczarka

go współczucia. Oto szablon malarstwa burżuazyjnego, w którym bez trudu pomieścić by można tematuowe elementy „Trąbek”. Nieprzejmującą wartość tego dzieła wiąże się oczywiście z wątkiem tematowym, leży jednak przede wszystkim w bezkompromisowej prawdzie obserwacji oraz w szczerości i głębi odczucia przedstawionych zjawisk. W zakresie realizacji zwraca uwagę niestrudzona praca artysty nad odtworzeniem w kompozycji najdrobniejszych elementów rzeczywistości w taki sposób, by zachowując pełną prawdę swych cech szczegółowych, dopełniały się i wydatniały we wzajemnych kontrastach i powiązaniach. Ze świadectw współczesnych wiemy, jak ogromna była pod tym względem sumienność Gierymskiego, który potrafił całkowicie już ukończone i wystudowane postaci poszczególnych Żydów ścierać i malować na nowo dla osiągnięcia w lepszym ugrupowaniu prawdziwszej ich charakterystyki. Zasadniczą dla warsztatu realisty proces wnikania materiału obserwacyjnego w bogactwo, a jednolitą w wyrazie, wizję kompozycyjną, nasilanie się tego co istotne i odpadanie nadmiaru dostrzeżonych szczegółów — wszystko to wydaje się rozgrywać w niezwykłym, dramatycznym napięciu świadomości i woli twórczej, której ciśnienie odczuwane jest na każdym centymetrze kwadratowym niewielkiego płótna. Ale też w wyniku tej pracy nie pozostaje w całym obrazie ani skrawka powierzchni, który by nie był przemysłany do dna i włączony całkowicie w tę dosko-

nałość wyrazu plastycznego, która promieniuje z „Trąbek”. Ta właśnie doskonałość jest istotnym wykładnikiem treści dzieła: odczucie krajobrazu podmiejskiego rodzimej Warszawy, odczucie losów ludzkich związanych z tym miejscem i z tą epoką, wyraża się bez reszty w „Trąbkach”, typowym dziele doby pozytywizmu łączącym badawczą rzeczowość widzenia z romantycznym umiłowaniem człowieka i ziemi ojczystej. Precyzja poznawcza i powściągliwa lecz głęboka uczuciowość znajduje tu wyraz w wystudiowanej bez reszty skończoności kształtu, w przenikliwym różnicowaniu, przesyconych prawdziwą poezją, wartości przestrzeni, światła i barwy. Każdy ułamek formy malarskiej, każde dotknięcie pędzla i grudełka farby ma tu pełne i niepowtarzalne pokrycie w treści dzieła. Dlatego też tak trafna jest ich mowa plastyczna, urzekająca pasją mozołnego, logicznego trudu, świetności i czystości jak blask szlifowanych klejnotów.



Aleksander Gieryski

Święto Trąbek I

świadczanie i upór — cenne szczególne i umiejętności ugrzęzłe w jałowym wysiłku, beznieszne, nieskuteczne. Jest to przejmujący przykład kleski artysty, któremu pozostało tylko wola pracy, metoda i umiejętność. Z przykładu tego płynie wniosek praktyczny o dużym znaczeniu, szczególnie dla treści aktualnych dyskusji o plastycie, w których — słusznie rzeczą — akcentuje się doniosłość wysiłku nad udoskonaleniem t.zw. wykonawstwa realistycznego. Otoż wniosek jest bardzo prosty: można wykonać obraz odpowiadający wszystkim teoretycznym warsztatowym postulatowi, który mimo to pozostanie w sztuce pozycją martwą, nudnym dokumentem poprawności i dobrej woli. Wartość podawowa, która pracę malarską zaleca i nadaje jej rangę sztuki, zależy będzie zawsze od pełnego osobistego związania się twórcy z treścią i kierunkiem rozwojowym obrazowanej rzeczywistości. Decyduje o tym siła wewnętrznej przekonania o realności i słuszności życia, w którym się uczestniczy i zdolność nadawania wyrazu plastycznemu temu przekonaniu.

Janusz Bogucki



Aleksander Gieryski

Szkic do obrazu „Trumna chłopka”

PŁOMIEŃ NIEUSTAJĄCY

(Dokończenie ze str. 7-ej)

— Zaczynamy?

Powiesi lampkę na gwoździu ku wbitym w belkę. Stasiek z ręką owiniętą w gałgan kucnął przy nieszczyśnym bolcu. Feliks zrzucił marynarkę, choć było nieco chłodnawo. Nacisnął pedał. Maszynka zaszelela cicho, szcześnie, zagrzętała przez chwilę jak żywe stworzenie. Feliks chwycił skrawek papieru, podsunął przez Dulebę, i za chwilę wyjął już, mokrą i pachnącą świeżą farbą drukarską, ulotkę.

Pochylił się nad nią wszyscy wychylając, z zapartym oddechem.

— Zle jest... powiedział Feliks.

— Sami zobaczcie, jak wyszło. Farba tak zalewa, że przeczącej nie można. Przetarli lekko litery, spojrzali na przykuśniętego Staska:

— Trzyma się?

— Trzyma...

— No, to jedziemy... — znowu szcześnie maszyną. Lampa naftowa rzucała na czterech milczących ludzi pomarańczową aureolę światła. Po belkach zmieniane pętały ich czarne cienie. Czasami dobiegło czyjeś westchnienie, jedno i drugie zdanie, zamienione w przelocie i potem znowu jednostajny, miarowy, jak przypływ morza rytm roboty, znowu tylko niepewnie mrugające przez długie, nocne godziny — światło lampy.

Maszynka zaciniała się co chwila. Stasiek mruzczał pod nosem z zadowoleniem. Kwiatek czujnie śledził każdy ruch ręki Feliksa. Duleba zwało krzątał się przy papierze. Feliksowi powoli zaczynały drętwieć nogi. Bezwład ogarniał ciało coraz wyżej. Od dawna stracił już rachubę godzin, stracił i rachubę odbijanych odczów. Machinalnie brał do rąk podtykanie mu przez Dulebę skrawki papieru i machinalnie odkładał je obok.

Gdy jednak Kwiatek nieśmiało zaproponował mu, że go zastąpi — przeczącą potrzęsłą głową. Mimo drętwoty nóg, mimo natarczywie

szurmującej sennieści, czuł się radośnie i lekko. W miarę przedłużania się pracy coraz śmielej i lepiej pokonywał sen i bezwład. Coraz dokładniej i precyzyjniej pracował przy maszynie. Duleba patrzył na to w podziwie. Teraz dopiero dostrzegł, jak bardzo przetrastał ich ten człowiek, nie przestając być jednakże jednym z nich.

— Oto on — Feliks: wysoka, chwiejąca się postać, rozszerzone, beznosne oczy, utkwione nieruchomo w robotę. W niej zdawał się rosnąć. Jeszcze bardziej smukła, jeszcze żywiej, potężniej osłepiały światłem jego oczy, jeszcze szybszy, płynniejszy był ruch pracującego niezmiernie ciałem.

Nagle zatrzymał się, znieruchomiał na chwilę. Spojrzął na nich pytającym wzrokiem:

— Co się stało?

Duleba uśmiechnął się:

— O, i wszystko... — nasunął okulary głębiej na oczy, co było u niego zazwyczaj oznaką szczególnego zadowolenia.

— Z robotą — koniec na dzisiaj...

Feliks w milczeniu odszedł od maszyny. Zbliżył się do zasłoniętego szcześnie okienka, mieszczącego się w szczycie dachu.

— Swita już... Zdążyliśmy. Duleba szturchnął Staska, skulonego przy maszynie:

— Wstawajże — prychnął — fajrant!

Ołbrzymi chłopiec uniósł twarz. Była wykrzywiona z bólu.

— Czego koniec? — zapytał bezprzymownie i nagle z cichym jękiem schował rękę za siebie.

Duleba przyskoczył do niego błyskawicznie:

— Dawaj! — krzyknął.

Stasiek, strwożony, posłusznie wyciągnął ją z powrotem.

Wilgotny, rudy gałgan, owijający palce, upadł na ziemię. Cała dłoń miała porwaną, krwawo luszczącą się skórę. Feliksowi znowu coś boleśnie utknęło w gardle.

— Dla ciebie dosyć już tego dobrego, chłopcze...

Ale ołbrzym tkwił uporczywie w miejscu.

— Idź do matki — syknął gniewnie Duleba — niech cię wysmaruje olejem...

Stach wskazał w odpowiedzi zdrową ręką na stos zadrukowanych ulotek:

— A co z tym będzie? — zapytał nieśmiało.

— Pójdziesz do ludzi.

— To ja zaniosę. Silny jestem.

— Są jeszcze silniejsi od ciebie.

Idź już, idź...

Stasiek, ociągając się, począł schodzić na dół.

— Pójde już — mówił w dalszym ciągu Feliks. — Po drodze podruczę bibułę na punkty. Jak oni się wszyscy uciecają. — Pojął się cały. Chwycił sznur i papier, przeznosnie schowany w kacie.

— Pomożemy wam — odezwał się Kwiatek.

— Dam radę. A na was też pora.

— Przez okienko wtargnęły dalekie, nieśmiało pogwizdy, jak brzęczenie świerszczy.

— Weźcie tylko ze sobą bibułę do warsztatów...

— Wspólnie wyszli przed dom.

Feliks powiedział, gdy się rozstawali:

— Pamiętajcie tylko o mutrze, bo inaczej po kolei skrwawimy sobie ręce. A na bibułę — to trochę szkoda bez prawdziwej potrzeby...

— Odszedł z wielką paką w ręku, chwiejąc się, smukły.

Kwiatek popatrzył przez chwilę w ślad za nim:

— Co za człowiek — wyrwało mu się nagle.

Ale Duleba obruszył się od razu:

— Człowiek? — zapisał gniewnie.

— Gdzieś widział takiego jak on? To płomień. Wszystkiemu i wszystkim da radę, gdy się spala...

Jerzy Piórkowski

JAN KOTT i ADAM WAŻYK
WIERŠE, KTÓRE LUBIMY
„Od Reja do Staffa”
str. 340 zł 11,50

WIERŠE O KOMUNIE
w Ośmiemdziesiątą Rocznice Komuny Paryskiej
str. 69 zł 7,—

DWA WIEKI POEZJI ROSYJSKIEJ
Wyd. 2
rozszerzone i poprawione
str. 620 zł 19,—

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI WŁODZIMIERZ ILJICZ LENIN
Poemat
str. 131 zł 10,—

„CZYTELNIK”

WANDA GRODZIŃSKA I SEWERYN POLLAK

Fantastyka i baśń w literaturze dziecięcej

(fragmenty referatu wygłoszonego na Plenum Zarz. Gł. Z.L.P.)

W ostatnich latach zaczęła panować tendencja zwalczania w literaturze dziecięcej bajki, wszelkich przejawów fantastyki, nawet personifikacji. Zwolennicy tej lewackiej teorii odwołują się do założenia, że fantazja odwołuje się do realnego myślenia. Mniejsza zresztą z tym, jak argumentowali, były to tendencje wulgarnie propagatorskie, wprowadzające do literatury pierwiastek płaskiego utilitaryzmu, wytrzebienie z książki dla dzieci wszystko, co przemawiało przez obraz, co ożywia i oddziaływało bezpośrednio na wyobraźnię dziecka. Bajka, mit, korzenie i twórczość w zamierzchłej epoce rodzenia się twórczych pierwiastków w człowieku, wywodzi się z procesów pracy i jest sumą doświadczeń społecznego życia i pierwiastek człowieka. Twórczość ludowa jest nauką, nauką realistyczną, ujmowaną zjawisk, fantazja ludowa wynika z dążenia do udoskonalenia warunków życia, jest nauczycielką optymistycznego poglądu na życie.

Maksym Gorki, wielki nauczyciel realizmu socjalistycznego, w referacie wygłoszonym na pierwszym zjeździe pisarzy radzieckich w 1934 r. mówi: „Zwracam waszą uwagę, towarzysze, na fakt, że najgłębsze, wyraziste i artystycznie doskonałe typy bohaterów zostały stworzone przez folklor, przez ustną twórczość ludu pracującego... Wszystko to są postaci, przy których powstaniu harmonijnie zespoliły się ratio i intuicja, myśl i uczucie. Takie zespolenie możliwe jest jedynie przy bezpośrednim udziale artysty w twórczej pracy nad rzeczywistością, w walce o odnowienie życia.

Bardzo ważne jest zaznaczenie, że folklorowi obcy jest całkowicie pesymizm, pomimo że twórcy folkloru mieli ciężkie i pełne udręki życie... Ale przy tym wszystkim właściwością kolektywu była pewnego rodzaju świadomość, że jest nieśmiertelny oraz pewność zwycięstwa nad wszystkimi wrogami mi. Bohater folkloru, głupi Jasio, pogardzany nawet przez ojca i braci, zawsze okazuje się od nich mądrzejszy, zawsze przewyższa wszystkich przeciwników życiowych.

Bajka, legenda ludowa, pieśń ludowa są przejawem najgłębszych doświadczeń, jakie lud zbierał na przestrzeni historii. W twórczości ludu tkwią nowe, zawsze żywe pierwiastki, które zasilały literaturę narodową. Nie na darmo Mickiewicz i Puszkini, odnowiciele narodowego mniemnictwa polskiego i rosyjskiego.

Bohater Października i budowniczy socjalizmu

(Dokończenie ze str. 2-ej)

Gdzie była „główna tajemnica” wyjątkowo owocnej pracy Dzierżyńskiego, która pozwoliła mu w krótkim czasie postawić „na nogi” dotychczas zrujnowany transport, a potem w ciągu dwóch i pół lat podjąć produkcję przemysłową? Była to kardynalna zasada wprowadzania w czyn przez Dzierżyńskiego: stały kontakt z masami, nieustanne mobilizowanie i wciąganie milionów pracujących do budownictwa. „Stożki przed nami zadania — mówił — będą mogły być rozwiązane pomyślnie tylko pod jednym warunkiem — jeżeli staną się zadaniami najszerzych mas proletariatu.”

Jak aktualnie i żywo brzmią słowa Dzierżyńskiego dla nas, budujących podstawy socjalizmu w Polsce. Jak bliskie są nam problemy, które Dzierżyński rozwiązywał. Jak zrozumiała jest jego wiara i przekonania, że każda nowa hala produkcyjna, każda nowa fabryka, każda nowa cegła stawianej budowy urealnienia i zbliża wspaniałą przyszłość socjalistycznego jutra.

Walcząc pod kierownictwem Lenina i Stalina o zwycięstwo rewolucji socjalistycznej w Rosji — pisał Zofia Dzierżyńska — odpierając wielką dłoń ataki jej wrogów, zakładając podwaliny socjalistycznej gospodarki w Związku Radzieckim — Dzierżyński ani przez chwilę nie zapomniał o Polsce, o polskiej robotniczej, o ludzie polskim, który gorąco kochał, a który walczył o życie i wolność w niewoli obywatelsko-kapitałistycznej.”

Troska o Ojczyznę nieodłącznie wiązała się z Dzierżyńskim. W jednym z swoich referatów z wielkim bólem wspomina o straszliwym losie tysięcy polskich robotników, którzy musieli opuścić kraj w polskim kłębku chleba. Wyrazem tej troski jest również list do robotników polskich w Dobrym, w którym Dzierżyński pisał, że dla Polski, dla jej losów, decydująca jest sprawa wyzwolenia robotnika i włościanina pod kierownictwem Partii Komunistycznej.

Dzierżyński utrzymywał nieustanny kontakt z polskim ruchem rewolucyjnym. Pomagał Komunistycznej Partii Polski wytaczać kierunek walki i wejść na drogę leninistyczną. W liście KC KPP do KC WKP(b) w 1926 r. czytamy: „przez cały czas, aż do chwili zgonu „Józefa” (pseudonim Dzierżyńskiego — B. T.), nasza Patria uważa-

skiego, pełną garścią czerpali z twórczości ludowej.

Ale i folklor bywa różny, zależnie od tego, jak zostanie przez pisarza przeniesiony do literatury i jak zinterpretowany oraz jakie elementy folkloru będą w utworze przeobrażone. Jeżeli pisarz wybiera z folkloru same tylko treści religijne, obrzędowe, tradycje kultury szlacheckiej, a nie ludu, jeżeli pod płaszczykiem folkloru przemycą do literatury motywy religijne i zabobonów, jeśli folklor traktuje jako jeden ze sposobów dekoracyjności, jako motyw stylizacyjny jedynie — to taki folklor jest fałszywy i w istocie swej reakcyjny.

Widząc w folklorze owoc twórczych doświadczeń ludu pracującego, dostrzeżemy w nim łatwo wszystkie elementy postępowe. Znajdziemy motywy pracy chłopów na wsi, motywy krzywdy ludzkiej w dawnych czasach, ciężkiej doli żołnierskiej, wspomnienia o pańszczyźnie, utyskiwania na złych dziedziców. Zwiąże się nam folklor z tradycjami z całym naszym doświadczeniem, z tym wszystkim, co w tradycji jest postępowe, co stanowi w niej piękne wzory. W bajce ludowej znajdziemy bohatera pozytywnego, znajdziemy naukę optymizmu. W obrzędach ludowych tkwią elementy zabawy, piękna symbolika, w jaką doświadczenie ludowe przyodziło swoje obserwacje zjawisk przyrody.

Postulat jak najszerzego uwzględnienia w literaturze dziecięcej motywów czerpanych z folkloru, z twórczości ludowej, rozwiązuje jednocześnie w sposób niezaprzeczalnie pozytywny zagadnienie fantastyki, a nawet personifikacji i fantastyki w dziele literackim. Powiem nawet więcej — abstrakcyjne pojęcia, ucieleśnione w konkretnych postaciach, a więc swego rodzaju symboliki, jak na przykład Codzienny Trud i Zysk z „Historii gaigankowej Balbisi” Broniewskiej — są na pewno dla dziecka bardziej zrozumiałe niż te same pojęcia w oderwaniu. Te elementy personifikacji znajdujemy w twórczości ludowej na każdym kroku. Po świecie wędrują Bieda i Śmierć, ta sama śmierć, która rozmawia z dziewczyną w poemacie Gorkiego. Mity to przecież nie innego jak marzenie pierwotnego człowieka o udoskonaleniu życia: dywan latający to marzenie o samolocie, buty siedmiomilowe to marzenie o przyspieszonej komunikacji na ziemi, a Herkules to przecież nasz przodownik pracy i racjonalizator, to personifikacja tych dążeń, które są nierozłącznie związane z marzeniem, a o których

ła go za naturalnego wodza... W procesie walk ideologicznych, przez jakie przechodziła i przechodzi Partia, w dążeniu do stania się Partią prawdziwie bolszewicką... Partia nasza znajdowała nieocenione rady i pomoc ze strony tow. Dzierżyńskiego...”

Dzierżyński nie znał wytchnienia w pracy, nie znał odpoczynku, nieustannie pisał rewolucyjną energią czynu. Długie lata spędzone w katorżniczych karcach na Syberii, wyczerpanie, gigantyczna wprost praca, niszczyły jego zdrowie. Na kilka godzin przed śmiercią wygłosił na Plenum KC WKP(b) dnia 20 lipca 1926 r. pełne żaru przemówienie przeciwko wrogom budownictwa socjalistycznego, antypartyjnej opozycji trockistowsko - zinoewowskiej.

Powiedział wtedy słowa, które najlepiej charakteryzują wielką Jego postać: „Wiedzę doskonałą, na czym polega moja siła. Nigdy siebie nie oszczędzam. Lubię mnie tu wszyscy dlatego, że mi ufacie. Nigdy nie jestem obłudny i jeśli widzę u nas nieporządek — zwalczam go z całą siłą.”

Śmierć Dzierżyńskiego okryła głęboką żałobą masy pracujące ZSRR, Polski i całego świata. Towarzysze Stalin żegnając wielkiego rewolucjonistę powiedział: „Wspieraj, nad otwartą trumną, kiedymy całą przebyłą przez tow. Dzierżyńskiego drogę — wzięcia, katorgę, zesłania, Komisję Nadzwyczajną do Walki z Kontrewolucją, odbudowę zrujnowanego transportu, budowę młodego przemysłu socjalistycznego — ma się ochotę charakteryzować to tętniące energią życie jednym słowem: Wieczny Plomien.”

W Dzierżyńskim straciłmy naszego ukochanego wodza i nauczyciela, wernego ucznia i współtowarzysza walki Lenina i Stalina, wspaniałego bojownika o sprawę robotniczą, który przez całe swe życie walczył o wyzwolenie mas pracujących, o socjalizm, o wolną i niepodległą Polskę. I dlatego dziś postać Dzierżyńskiego żyje w sercu każdego Polaka. Codziennie stawiamy i stawiać będziemy pomniki naszej pracy, budując szczęśliwe, kwitnące życie dla nas i dla naszych potomnych, nie ustając w walce o socjalizm i pokój.

Dzierżyński jest wzorem i przykładem dla nas, budowniczych Polski socjalistycznej, bojowników Frontu Narodowego walki o pokój i plan 6-letni. Bronisław Tronicki

zaszczerpienie w dzieciach staramy się dzisiaj usilnie.

Fantazja jest czynnikiem zapładniającym w działaniu, bez udziału fantazji murarz, tokarz czy górnik nie dostrzegłby możliwości zwiększenia wydajności swej pracy, racjonalizator w fabryce nie widziałby sposobu usprawnienia swej maszyny, architekt nie wyobraziłby sobie zarysów domu, który ma zaprojektować, a pisarz nie napisałby nigdy książki.

W 1928 r. Gorki, występując w jednym ze swoich artykułów o komunistycznej literaturze przy Ludowym Komisariacie Oświaty przeciw wulgaryzatorom, wyraził się:

„Jeżeli komisja książek dziecięcych chce, aby w nowej Rosji rzeczywiście wyrósł nowy artysta, nowi twórcy kultury — nie powinna odrzucić „wymysłu”, zabijać w dzieciach fantazji, gdyż ludzie nauczyli się już przetwarzać swoje fantazje — „wymysły” — w rzeczywistość, a zatem dążenie, żeby stworzyć w dzieciach tę właściwość człowieka, twórczą właściwość — byłoby przestępstwem.”

Jaka jednak powinna być fantazja? Czy każda fantazja jest równie dobra w utworze dla dzieci? Fantazja musi być oparta na podstawach logicznego myślenia, nie może być oderwana od rzeczywistości, od właściwego środowiska, nie może wkraczać w czysty nonsens. Zwierzęta w „Księdze Dżungli” Kiplinga mówią ludzkim językiem i to nikogo nie razi, ponieważ ich postępowanie uwarunkowane jest cechami ich natury. Natomiast zwierzęta w licznych książkach o doktorze Dollittle'u są wynaturzone, pozbawione właściwych sobie cech, a książki Loftinga piętrzą jedynie nieprawdopodobieństwa. Dziecko śmieje się, gdy czyta w wierszu Czulkowskiego o tym, że krokodyl zjadł kalosze, właśnie dlatego, iż wie, że krokodyl nie jada kaloszy. Nie wolno nam nigdy zapominać o wychowawczym znaczeniu utworu nawet fantastycznego, fantazja powinna wspierać wychowawcę, a nie pisarza, powinna być elementem pomocniczym w jego pracy zarówno dydaktycznej jak i wychowawczej. Pewne dziecko, zapytane, czy podobają mu się takie książki, jak Loftinga, jak Haldana „Mój przyjaciel pan Liki” odpowiedział: „podobają mi się, bo nie ma mądrzejszych, tak samo wiekających”.

W dzisiejszej literaturze niewiele mamy książek, które byłyby oparte na polskich wątkach baśni ludowej. W pierwszych latach powojennych wydawnictwa, przeważnie prywatne, wydały sporo książeczek z bajkami, które były opracowaniami tradycyjnych, wędrownych wątków. Były to książeczki na niezbyt wysokim poziomie, drukowane przeważnie w celach merkantylnych.

Ale już w roku 1947 „Książka” przystąpiła do wydania zbioru bajek w opracowaniu Wandy Markowskiej i Anny Mińskiej. Było to pierwsze podjęcie z pełną odpowiedzialnością wydanie, zawierające bajki ludowe całego świata. Autorki poprzedziły swoją pierwszą książkę przedmową, w której uzasadniają społeczne i literackie znaczenie bajki. Podkreślają one, że każdy naród ma własny typ bajki, zależny od swoich warunków społecznych i historycznych. Autorki opracowały kilka takich zbiorów, znalazł się pomiędzy nimi oddzielny zbiór bajek narodów Związku Radzieckiego, w poszczególnych tomach roznane są również ludowe baśnie polskie, czerpane ze starych opracowań i monografii bajki polskiej. Większość utworów zawartych w pracach Markowskiej i Mińskiej odznacza się starannym opracowaniem i dobrym stylem.

Zbiorów poświęconych opracowaniu ludowych bajek polskich nie mieliśmy po wojnie, w tej chwili dopiero znajduje się w druku książka Porazińskiej „Polskie baśnie ludowe”. Porazińska zachowuje nie tylko oryginalne wątki ludowe, ale również stara się oddać swoisty styl, jakim lud opowiada te bajki. Jest to swego rodzaju stylizacja, ale stylizacja, która nie narusza oryginalnych wątków bajkowych, a piękny język podkreśla ich artystyczne walory.

Za to w „Bajdurkach” Porazińska snuje już własne wątki, ale opiera się również na elementach ludowych. Umie się ona tak dobrze wczuć w atmosferę bajki ludowej, że ten, kto nie zna oryginalnych

wątków, łatwo może bajki Porazińskiej wziąć za samorodne teksty ludowe. Tak samo jak bajki ludowe, „Bajdurki” Porazińskiej są pogodnie, pełne optymizmu i mają głęboki sens moralno-wychowawczy.

Nowe rozwiązania starych wątków bajkowych podaje w wierszowanej formie Ewa Szelburg-Zarembina w dwóch zbiorach: „Bajki” i „Kije-samobje”. Nawiązuje w swych bajkach do rzeczywistości dzisiejszej i dla podkreślenia morału zmienia dowolnie zakończenia. Można by powiedzieć, że Zarembina „udemokratyzowała” te bajki; czy to jest słuszne, czy nie — to rzecz dyskusji. Na specjalną uwagę zasługuje jeszcze jedna bajka Zarembiny — „Marysina służba” napisana piękną, artystyczną prozą. Książeczka ta odznacza się wyjątkowym wdziękiem i szlachetnym ujęciem tematu.

Zupełnie osobliwy rodzaj bajek stanowi „Mysz pod miotłą” Kownackiej. Każdą bajkę autorka wprowadziła w przysłowia ludowe. W posłowie autorka namawia dzieci do pożytecznej pracy zbierania przysłów i pogwarek ludowych.

Do wzbogacenia tematyki bajki przyczyniły się ostatnio wydawnictwa wydając dobre przekłady utworów znakomych bajkopisarzy. Między innymi wydano na nowo bajki Andersena i „Dziadka do orzechów” E.T.A. Hoffmana.

Wanda Grodzińska i Seweryn Pollak

Z TYGODNIA

5430 wspomnień wpłynęło na konkurs Polskiego Radia i Państwowego Instytutu Wydawniczego na wspomnienia robotnicze. W ocenie ich wzięło udział 90 recenzentów, w tym 47 członków Związku Literatów Polskich.

Wspomnienia są nowym, doniosłym, artystycznym wyrazem historii polskich robotników i chłopów, a przede wszystkim wyrazem przełomu, którego w tej historii dokonała Polska Ludowa. Dają one wierny i sugestywny obraz walki, bohaterstwa i ofiarności polskiej klasy robotniczej, są gorącym i pełnym tragicznej wymowy oskarżeniem rządów kapitalistycznych w Polsce, które poniewierali życiem i godnością człowieka i niszczyli najlepsze siły narodu. Na wielu codziennych przykładach z własnego życia autorzy wspomnień pokazują, jaka ogromna przepręga dzieli dzisiejsze życie od dawnych lat nędzy, bezrobocia, poniewierki.

Ostatecznej oceny wspomnień dokonała komisja konkursowa w składzie: Karol Kuryluk (przewodniczący), Wilhelm Billig, Kazimierz Brandy, Tadeusz Danisewski, Anna Mińska, Lucjan Rudnicki, Jadwiga Siekierska, Stefan Szaszewski, Jan Wilczek, Stanisław Wygodzki i Tadeusz Zabudowski. Nagrody i wyróżnienia przyznano następującym uczestnikom konkursu:

I nagroda — 6 tys. zł Albin Bobruk — (Warszawa); II nagroda — po 3 tys. zł Wanda Augustynowicz — (Ilawa), Tadeusz Felis — (Bartoszyce, koło Olsztyna), Jan Janowski — (Gdynia), Walenty Kotarski — (Lubsko), Aleksandra Reluga — (Sławęce), Włodzimierz Suda — (Warszawa), Andrzej Warzyński — (Częstochowa), Oskar Weinberger — (Warszawa), Janina Wiernicka — (Lubartów).

Ponadto przyznano trzynaście trzecich nagród po 2 tys. zł oraz 21 wyróżnień po 500 złotych.

Rozpoczęto zdjęcia do nowego pełnometrażowego filmu polskiego „Pierwsze dni”, według powieści Bogdana Hamery „Na przykład Plewa”. Scenariusz opracował autor. Film realizuje zespół: Jan Rykowski i Stanisław Różewicz — reżyseria oraz Wł. Forbert — zdjęcia. Dekoracje — Wojciech Krzysztofiak.

Celem uczczenia 25-ej rocznicy śmierci Feliksa Dzierżyńskiego kinematografia polska zrealizowała opowieść filmową o tym największym polskim rewolucjonistę. Scenariusz filmu napisał Stanisław Wygodzki przy współpracy Eugeniusza Cękalskiego, który zarazem film reżyseruje.

W dniu Święta Odrodzenia, 22 lipca br., zostanie otwarty w Warszawie w gmachu Zw. Zaw. Kolejarzy odbudowany teatr Ateneum im. Stefana Jaracza. Jak wiadomo, Stefan Jaracz był twórcą i długo-

Po zgonie Tadeusza Borowskiego

Pod adresem Związku Literatów Polskich i Komitetu Współpracy z Zagranicą nadeszły następujące depesze:

Do Pana Ambasadora Jana Karola Wendego Komitet Współpracy Kulturalnej z Zagranicą

W a r s z a w a

Głęboko wstrząśnięci jesteśmy śmiercią naszego ukochanego, niezapomnianego przyjaciela, Tadeusza Borowskiego.

Pamiętamy, jak przed premierą pierwszego polskiego filmu, który dotarł do Niemieckiej Republiki Demokratycznej, przed premierą „Szerokiej Drogi”, piórnymi i pełnymi mądrości słowami opowiadał nam o heroicznym życiu Polski Ludowej; jak szturmami zdobył nasze serca, a jednocześnie przekonał nasze umysły.

Nieraz później Tadeusz Borowski — jeden z najczystszych przyjaciół naszego narodu — podtrzymywał po naszej młodej Republice. Stroniąc od migawek wrzecz, zatrzymywał się częstokroć na kilka tygodni w poszczególnych miastach, a nawet w pomniejszych wsiach, aby jak najgruntowniej poznać nowe życie naszego narodu. Dzięki temu powstała tak świetna artystycznie i dająca tak prawdziwy obraz nowego życia niemieckiego nowela „Muzyka w Herzenburgu”. W tej chwili właśnie przygotowujemy druk tej pracy Borowskiego. Naszym wielkim, naszym najświętszym obowiązkiem jest wydać tę nowelę jeszcze przed Złotem Berlińskim i rozpowsze-

chnić ją wśród całej naszej młodzieży.

Znam serdeczną, koleżeńską, opierającą się na poczuciu wspólnych celów walki, przyjaźń Zmarłego z naszym poetą Kurtem Barletem (Kuba). Borowski zamierzał razem z Kubą, w kolektywnej pracy, napisać książkę o granicy pokoju na Odrze i Nysie. Śmierć wytrąciła mu pióro z ręki. Pragniemy złożyć zapewnienie, że wybitna działalność i szczerą dla nas przyjaźń Tadeusza Borowskiego pozostanie na zawsze w naszej pamięci.

Niemiecko-Polskie Towarzystwo Pokoju i Dobrego Sąsiedztwa postanawia przyswoić narodowi niemieckiemu całą twórczość Borowskiego.

Prosimy o wyrażenie Rodzinie Zmarłego, jak również Związkowi Literatów Polskich i Związkowi Młodzieży Polskiej, wyrazów naszego szczerzego współczucia. Twórczość literacka i działalność polityczna Tadeusza Borowskiego żyje w naszej młodej Republice. On sam żyje wśród naszej młodzieży, żyje w pracach naszego Towarzystwa, żyje w naszej przyjaźni, żyje w naszej wspólnej walce o pokój.

Za Zarząd Niemiecko-Polskiego Towarzystwa Pokoju i Dobrego Sąsiedztwa

(—) prof. dr Fryderyk Wolf
Berlin, 6 lipca 1951 r.

Do Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich
W a r s z a w a

Związek Pisarzy Niemieckich wyraża Związkowi Literatów Polskich wyrazy najgłębszego współczucia z powodu niespodziewanej śmierci Tadeusza Borowskiego. Zmarły był wybitnym bojownikiem socjalistycznym swego narodu. Z bronią w ręku walczył przeciwko hordom niemieckiego faszyzmu, a następnie z piórem w ręku przyspieszał i opiewał odbudowę nowej Polski. Nie tylko Wy, polscy koledzy, ale i my, literaci niemieccy, tracimy w młodym, uzdolnionym, prawdomównym i odważnym pisarzu towarzysza na drodze ku nowemu, pokojowi światu.

Związek Pisarzy Niemieckich
Za Zarząd
(—) Bodo Uhse
Berlin, 6 lipca 1951 r.

Do Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich
W a r s z a w a

Droży przyjaciele, z bólem dowiedzieliśmy się o śmierci naszego wypróbowanego przyjaciela Tadeusza Borowskiego. Łączymy się z Wami w żalobę po tym pisarzu, który był jedną z największych nadziei młodej polskiej literatury, po towarzyszu i koleźce z terenu naszej wspólnej pracy. Przekazcie Mu nasze ostatnie pozdrowienie.

Tadeusz Borowski wezwał nas w Berlinie do twórczego współwiednictwa. Odpowiedzieliśmy na Jego wezwanie i przyrzekliśmy w myśl Jego żądań dalej pracować nad sobą i nad stworzeniem nowej literatury. Jego pracowitość i wytrwałość będzie dla nas wzorem.

Młodzi pisarze Turynii
(—) Harry Thürk
(—) Armin Müller
Weimar, 6 lipca 1951 r.

Redakcja „Nowej Kultury” wyraża, że w liście nazwisk członków Związku Literatów Polskich, którzy położyli swój podpis pod nekrologiem Tadeusza Borowskiego, opuszczone zostały pomyłkowo nazwiska Wacława Rogowicza i Leopolda Lewina. Ponadto redakcja nasza otrzymała od kol. Stanisławy Sznaper-Zakrzewskiej list z prośbą o dołączenie jej podpisu do figurujących na powyższym liście.

STEFAN ŻEROMSKI WSPOMNIENIA	
str. 205	zł 7,50
KAZIMIERZ BRANDYS CZŁOWIEK NIE UMIERA	
str. 436	zł 20,—
W Kuźni Planu Sześcioletniego ROMAN HUSSARSKI NOWY MUR	
str. 223	zł 7,50
STANISŁAW ZIELIŃSKI OSTATNIE OGNI	
str. 307	zł 10,50
Biblioteka Trzydziotowa STANISŁAW WYGODZKI OPOWIADANIE BUCHALTERA	
str. 182	zł 3,—
RYSZARD MATUSZEWSKI LITERATURA NA PRZEŁOMIE	
str. 317	zł 15,—
BOGUSŁAW LEŚNODORSKI KAZIMIERZ OPAŁEK NAUKA POLSKIEGO OSWIECENIA W WALCE O POSTĘP	
str. 101	zł 8,—
„CZYTELNIK”	

20. VII. 1926 — 20. VII. 1951

W 25 rocznicę śmierci Feliksa Dzierżyńskiego

ALEKSANDER BEZYMIEŃSKI

FELIKS

fragmenty poematu w przekładzie JULIANA TUWIMA

Album, 1 portr., str. 24 zł 3,60

„KSIĄŻKA I WIEDZA”

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

Nowa sztuka Jarosława Iwaszkiewicza

Finał Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych został otwarty w Warszawie pokazem sztuki Jarosława Iwaszkiewicza: „W Błędniem”. Po „Kochankach z Werony”, „Lecie w Nohant”, „Maskaradzie”, „Starej cegielni” jest to piąty, a jeśli wliczyć jeszcze jednoaktówkę „Gospodarswo” — szósty utwór teatralny pisarza. Iwaszkiewicz — znakomity prozaik i poeta starszego pokolenia, czołowy uczestnik walki o pokój w gronie polskich intelektualistów — po raz pierwszy w swej twórczości poruszył tu szerzej zagadnienia powojenne, sprawy związane z budową państwa ludowego.

„W Błędniem” jest sztuką niezwykle ambitną pisarsko. Stawia problematykę socjalistycznej moralności, problematykę „czystych rąk”, odpowiedzialności etycznej za wczorajsze winy, prawa do tworzenia nowego życia.

Błędniem jest małym miasteczkiem w Wielkopolsce. Mamy rok 1945. Władza Błędniem burmistrz, inżynier Konrad Siwicki, prowadzący umiejętnie i z energią odbudowę zniszczonego wojennymi, pracujący z zapałem nad projektami dalszego rozwoju. Ale Konrad ma niezamienne ogółowi plany na swoją przyszłość. Przed dziesięć lat, korzystając z nieufności, jaka otaczała w środowisku małomiasteczkowym jego brata — komunistę, zwał na Stanisława własne winy — malwersacji pieniężnej i uwiedzenia młodej dziewczyny. W chwili, kiedy burmistrz cieszy się najwyższym autorytetem i w pełni realizuje swoje plany — Stanisław wraca z wojska i żąda wyświeślenia faktów przeszłości. Konrad wyznaje publicznie zdarzenia sprzed lat. Potępiony przez przedstawicieli Miejskiej Rady Narodowej odjeżdża, zostawiając bratu stanowisko i robotę.

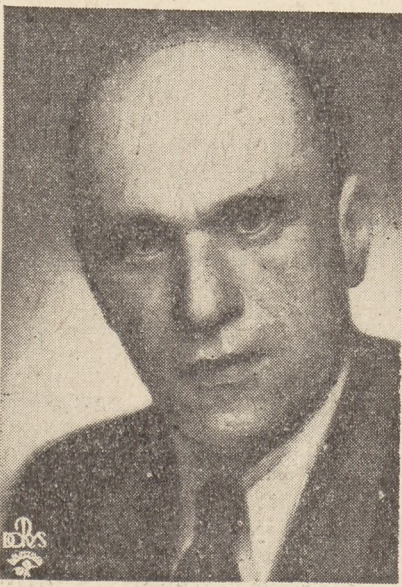
Tak przedstawia się w najogólniejszym zarysie główny (choćby bynajmniej nie jedyny) wątek sztuki.

Autor artykułu w programie teatralnym kiepską czyni pisarzowi przysługę, usiłując związać zagadnienia utworu z treścią referatu Bolesława Bieruta na III Plenum PZPR. Prezydent mówi o bardzo konkretnej i związanej z sytuacją polityczną sprawie konieczności sprawdzania przeszłości ideowej ludzi na odpowiedzialnych urzędach, obserwowania szczerości stanowiska, potrzeby eliminacji motywow osobistych w decyzjach kadrowych.

W „Błędniem” (napisanym nota bene przed III Plenum) rzecz rozgrywa się na tle spierzonych do ostatecznych granic konfliktów rodzinnych i erotycznych. Przedstawiciel klasy robotniczej i Partii — prezes Rady Narodowej — Stanisław zamyka raczej oczy na endecją i antysemitą przeszłości burmistrza sprzed wojny. Po kar-

tastrofie zdobywa się na dyalektyczność i najszczęśliwie sformułowanie swojego sądu w aforyzmie: „Garbatego mogła wyprostować”. O obecnym, prawdziwym obliczu ideowym Konrada (a to prawie decydujące) właściwie nie wiemy, podobnie przemilczana jest zupełnie walka polityczna przedstawianego okresu.

Teza sztuki: dla budowania nowego życia niezbędna jest czystość etyczna budowniczego — postawiona została na abstrakcyjnej płaszczyźnie moralnej. Przeciwnie, najbardziej bezkompromisowy sędzia Konrada — zetułowem Rysio, powiada o nim: „Fajnie zaczął pracować, Błędniem wiele przez niego zyskał”. I dlatego może mniej ważne jest po-



Jarosław Iwaszkiewicz

lityczne wczoraj Konrada, bardziej chodzi o to, czy potrafi on przebudować swój światopogląd. Autor, raczej ignoruje tę kwestię — i to przyniesie mu akcent pesymistyczny w zakończeniu.

Tu koniecznie trzeba przypomnieć, o reminiscencjach z „Podpór społeczeństwa” Ibsena. Iwaszkiewicz związał z nich świadomie naczelną zagadnienie, niektóre zarysy akcji, ustawienie niektórych postaci, a nade wszystko klimat utworu.

To prawda, że sztuka Ibsena została napisana w najbardziej burzliwym okresie twórczości wielkiego Norwega, powstała jednak 75 lat temu, w innej zupełnie sytuacji społecznej i na innym etapie rozwoju pisarstwa realistycznego. Podporządkowanie się słabo związanym ze współczesnością tradycjom literackim utrudnia Iwaszkiewiczowi rozwiązanie tak ciekawie postawionego, tak ważnego zagadnienia.

Przemówienie Konrada w ostatnim akcie przypomina raczej spowiedź w sensie chrześcijańskim, niż samokrytykę człowieka myślą-

cego kategoriami społecznymi. Burmistrz wyjeżdża z Błędniem, odda bratu plany i stanowisko — ale czy Stanisław potrafi poprowadzić jego dzieło? Pisarz może odpowiedzieć, że to już inna kwestia, że jego interesował czysty problem moralny — ale dla naszego dzisiejszego widza sprawy konkretne, sprawy biegu życia są jakże interesujące i ważne!

Jan (odpowiednik Stanisława) jest u Ibsena postacią najbardziej zdawkową i bladą. To jest zgodne z nurtem wewnętrznym ówczesnej literatury; Jan był tylko pretekstem dla dylematu etycznego radcy Bernika. Podobnie Stanisław w „Błędniem” jest najstańszą zarysowaną postacią sztuki. I tak jego stanowisko wobec winy brata jest chwiejne. Dalej — na scenie najwyraźniej widzieć w końcu tylko to, że ożenił się z niezbyt mądrą kobietą, nie bardzo nawet wiemy jakim jest lekarzem — co dopiero jakim będzie burmistrzem. A znowu — dla nas postać tzw. „bohatera pozytywnego” jest centralna, najbliższa, od niej zależy czy sztuka przyniesie istotnie umacniania, konstruktywny sens.

Spadek po Ibsenie we współczesnym utworze podważa wartość literacką innych jeszcze postaci. Zona burmistrza Władka jest okazem nieszczytnego, karykaturalnego, łózkowego „awansu społecznego” — dziełczywny w środowisku mieszczańskim. Ex-pielegniarka, która zasładła na stolcu „królowej Błędniem”, musiała przekonać niejedną gorycz, przeżyć niejedno pragnienie wyrwania się w świat. Autor zamazuje stronę obyczajową sprawy, prowadzi postać w skomplikowany, nieokreślony gąszcz psychologizowania kobiety permanentnie nieszczytliwej w miłości. W efekcie Władka jest przedwczorajszym zjawiskiem literackim.

A zakończenie utworu? Energia dramatu nastrojowego przesuwają niespodziewanie całą problematykę w inne rejony. Konrad staje się tutaj bohaterem-samotnikiem, wyższym nad otoczenie przez zasługę swojego cierpienia. W ulewę wypędzony z rodziną z własnego domu. Mała córka w palatoku podrobnym beznadzie dyga obcym i groźnym ludzom zgromadzonym w salonie. Deszcz siece w szyby. Chłupot dorozki po blocie. Urywany szloch starej służącej.

Pomimo wszystkich załamań sztuka Jarosława Iwaszkiewicza jest w repertuarze Festiwalu pozycją niezmiennie ważną. Nie tylko dlatego, że dojrzałością środków pisarskich (mimo pewne dłużyzny drugiego i trzeciego aktu) przewyższa inne, że precyzyjnie punktuje zawiłą akcję, że wirtuozowsko operuje dialogiem i pozwala mówić każdej postaci własnym językiem. Mimo wad rozwiązania, „Błędniem” jest etapem na drodze do socjalistycznego dramatu moralnego, wyrzeka się sztampy i

łatwizny, daje ludzi żywych i odczuwalnych; w rysunku figur przedstawicieli młodego pokolenia — Rysa, Klemensa, Wali — jest świeży i przekonujący. Postać matki obu braci — doktorowej Siwickiej, daje obraz najistotniejszych rysów przytłaczającej obyczajowości mieszczańskiej. Wspomnijmy o jednej choćby z wnikliwie podchwyczonych jej cech, — chęci przeciwstawienia nowemu światu swojego, choćby prywatnego, choćby zamkniętego świata. „Wszystko się teraz zmieniło, wszystko jest inne, ale mój dom pozostanie moim domem”. — „Zawali się on jak wszystko” — odpowiada partner.

Sztuka ma szereg celnych i błyskotliwych sformułowań. W miasteczku szpital ma być zbudowany „na rogu ulicy Czerwonej Armii i Św. Ducha”. Dowcip — ani słowa — cięty. Rzecz jednak w tym, że sam utwór powstał na skrzyżowaniu śmiałości, ważnej problematyki i dalekich od współczesności tradycji.

Przedstawienie Teatru Wrocławskiego pokazane w Warszawie nie zmniejszyło tego balastu. Festiwal Sztuk Współczesnych tym, między innymi różni się od poprzednich, że wymaga od teatru czujnego współdziałania z tworzącą się dopiero u nas dramaturgią socjalistyczną. W niektórych wypadkach ludzie sceny po rafiłi dopomóc autorowi, zastrzyżyć sens ideowy dzieła, wzmocnić jego dojrzałość treściową, w porównaniu z pisarzem (i oczywiście — tylko w porównaniu z pisarzem) dokonać celnych przeróbek.

Spektakl reżyserowany przez Marię Wiercińską reprezentował dobry poziom gry zespołowej; jest nawet osiągnięciem teatralnym, ale w ramach tego stylu nastrojowo-symbolicznego, który należy już na szczęcie do teatralnej przeszłości. Ze sztuką Iwaszkiewicza wydobyto przede wszystkim to, co wczoraj było. Charakterystyczną naprzekład jest rzeczą, że nie usiłowano podkreślić (choćby rekwizytem czy kostiumem) czasu, w jakim rzecz się rozgrywa; wyakcentowano natomiast „spirytystyczną” rolę portretu zmarłej żony Konrada — Ireny. Zdecydowanie błędnie postawiona została — opisana już — scena wyjazdu Konrada.

W dobrym zespole wyróżnili się przede wszystkim wykonawcy ról młodzieży. Tadeusz Skorulski, świetnie obsadzony w Rysu, nie miał ani jednego akcentu fałszywego. W przemysłowej i z kapitalną impulsywnością zagranej roli czuł się równie dobrze jak w trafnym kostiumie. Bardzo dużo szczerości i prostoty dała Wali Zofia Skrzyszewska.

Antonina Dunajewska nie wykorzystowała może wszystkich możliwości roli wielkiego formatu, jakie przeżywały w starej Siwickiej — wydobyła jednak schyłkowość cha-

rakteru tej matrony. Halina Drohocka wygrała wdzięk i prowincjonalny smak znakomicie napisanej postaci starej panny-nauczycielki. Dzięki spokojowi i kulturze interpretacji Janusz Mazanek wybrnął poprawnie z nader trudnej roli Konrada. Optymizm i otwartość Feliksa Zukowskiego pozwoliły na szczęśliwe ustawienie roli Stanisława. Dyskretnie zagrane zostało zakończenie. Niepokojącą i ciekawą Władką była w pierwszym akcie Maria Kozierska, w następnych nie zdołała niestety wygrać się z mieliną roli i grała niezrozumianą, „kobietą fatalną”. Charakterystyczną sylwetkę służącej plastycznie odwzorowała Jadwiga Hańska. Pozostałe role uległy spycieniu.

Dekoracje Jadwigi Przeradzkiej nie określały wyraźnie środowiska, w jakim rzecz się toczy. W ramach przyjętej koncepcji światłem operowano konsekwentnie.

Na koniec wspomnieć należy o dogu, który na pewno odrywał uwagę widza od dialogów, ale za to swoimi rozmiarami pobił na głowę wyżyły z „Henryka VI” i pęknięty z warszawskiego Gribojedowa.

Stanisław Marczak-Oborski

**FELIKS DZIERŻYŃSKI
WE WSPOMNIENIACH
I WYPOWIEDZIACH**
zł. 4.50

**FELIKS DZIERŻYŃSKI
WIELKI SYN
NARODU POLSKIEGO**
Album
zł. 2.50

**WIECZNY PŁOMIEŃ
ANTOLOGIA POETYCKA
KU CZCI
FELIKSA DZIERŻYŃSKIEGO**
opracował W. Woroszyński
zł. 3.50

**BEZYMIENSKI A.
FELIKS**
przełożył J. Tuwim
zł. 3.60

**ZATORSKI A.
O FELIKSIE
DZIERŻYŃSKIM**
zł. 2.40

**OPOWIADANIA
O DZIERŻYŃSKIM**
zł. 8.60

**RUDNICKA H.
PŁOMIEŃ GOREJĄCY**
zł. 10.50

W księgarniach „DOMU KSIĄZKI”



Nakładem Sp. Wyd.

„Książka i Wiedza”

ukazały się:

W. I. LENIN

DZIEŁA — tom 21

Stierpień 1914 — Grudzień 1915
Str. 530, tabl. 1, pl. zł. 4.50.**W. I. LENIN**

DZIEŁA — tom 23

Stierpień 1916 — Marzec 1917
Str. 456, portr. 1, tabl. 1, pl. zł. 4.50.
K 1186-1

ALEKSY TOŁSTOJ

HRABIA CAGLIOSTRO

i inne opowiadania

str. 228

HONORIUSZ BALZAC

NIETZNE ARCYDZIEŁO

str. 208

IWAN WAZOW

WYBÓR OPOWIADAŃ

str. 157

LOUIS ARAGON

KOMUNISCI

Tom III

str. 307

JORGE AMADO

ZAMARŁE MORZE

str. 260

G. KARASŁAWOW

HISTORIE WIEJSKIE

str. 315

MAO TUN

CZTERY OPOWIEŚCI

str. 107

JACK LINDSAY

OPOWIEŚĆ O ROKU 1649

str. 621

„CZYTELNIK”

Ofensywa socjalistycznego budownictwa

(dokończenie ze str. 5-6)

Rewolucji nie można przeprowadzić zarządzeniem administracyjnym. Prezydent wracający z kapitałizmem — królewskiego Krakowa nie mógł zmusić słońca, żeby zajął do mieszkani robotniczego, nie mógł włożyć powietrza do przesaknionych zaduchem pokoiów. Ani prezydent Leo, ani jego pańscy mocodawcy nie byli zdolni tego zrobić. Na to trzeba było rewolucji, która by zmieniła hierarchię spraw i zadań tego archykatycznego miasta, jakim był Kraków.

Ta wojna człowieka z murami, którą opusze Boy, a właściwie walka rodząca się w ciężkich bólach kapitalizmu z feudalizmem austro-krakowskim — nie zakończyła się papierową decyzją prezydenta Leo. Kapitalizmowi brakowało napędowej. Kapitalizm zgasił w 1905 r. ostatni wielki piec stojący pod Krakowem. Polska burżuazyjna nie wyzwoliła ogromnych sił drzemających na polskim południu. Uczynił to dopiero lud polski.

Prezydent Leo wytargował u austriackich generałów prawo zniesienia fortyfikacji i zabudowę plant. Polska Ludowa zgłosiła i zniósła III pas fortów austriackich. Na gruzach tych fortów powstała droga do Nowej Huty — nowej wielkiej bazy budowy fundamentów socjalizmu.

Dla niej to, dla proletariatu Krakowa, stanęło nowe wielkie osiedle mieszkaniowe przy Mogińskiej, obojętne na 8000 mieszkańców. Stłoczone dawniej i usychające, jak korzonki nad powierzchnią ziemi, ulice, wychodzące z śródmieścia, zabudowane zapadającymi się w ziemię domkami — zamieniają się dziś w duże arterie, łączące nowoczesne, przemysłowe dzielnice miasta z renesansowym śródmieściem. I te pełne oddechu nowe ulice two-

rzyła dopiero właściwą perspektywę dla pięknej architektury starego Krakowa.

DYSKUTOWAĆ CZY BUDOWAĆ?

I znowu drobna dygresja — o architekturze.

Nie ma chyba w Polsce człowieka, a tym bardziej architekta i urbanistę, który by chciał zasłonić swoimi budynkami piękną renesansową architekturę starego Krakowa. Nie ma chyba w Polsce architekta i urbanistę, który by podjął dyskusję na temat wyższości architektury współczesnej nad walorami starego Krakowa.

Albo znowu — czy wszystko, co wybudowano w Krakowie dawniej, nawet w epoce renesansu — było piękne? Czy wszystko przetrwało? Przecież niewielki odsetek domów z tego okresu pozostawia nam smak epoki i nadaje piękno reszcie.

My, w naszej niecierpliwiej epoce, nie mogliśmy tracić czasu i lata całe dyskutować, by uzyskać w efekcie wątpliwą „koncentrację piękna”, który stanowiłby styl epoki. Nam chodzi jeszcze dziś — pomimo wielu dziesiątków tysięcy oddanych izb i budynków — o to, żeby możliwie szybko załagodzić gwałtowny głód mieszkaniowy, zapożyczyć potrzeby ogromnego, żywiołowego, burzliwego procesu uprzemysłowienia i urbanizacji, którą Polska przeżywa. Chodzi o mieszkanie dla robotnika z centralnym ogrzewaniem, łazienką i wszystkimi innymi przyjemnymi instalacjami ze sznurkiem, które były dotąd udziałem tylko klas posiadających. Musimy przedłużyć funkcję naszych małych mieszkań zlokalizowanych dla dzieci, których matki pracują, przedszkola, żeby dzieci nie chowały ulicą, klubem pracowniczym, gdzie znajdziemy możliwość pogwarzenia sobie i pożytecznego spędzenia czasu, urzą-

dzeniami sportowymi, „pralniąmi, ośrodkami zdrowia i innymi podobnymi, żeby nasze mieszkanie było prawdziwym miejscem odpoczynku i osobności, jeżeli zatuszujemy do osobności.

Nie oznacza to wcale, że się godzimy na minimalistyczne na pudła i pudełka, zgrabniejsze, czy mniej zgrabne, większe, czy małe i że nie będziemy wołać o piękną architekturę. Wprost przeciwnie. Chcemy architekturę, która wiązać będzie piękne tradycje ze stylem naszej bohaterskiej epoki, który ją będzie wyrażał. Ale wydaje się, że przy dzisiejszym szybkim procesie budowania łatwiej dopracujemy się tego stylu, przedziej dojrzałości realizmu socjalistycznego, budując, wznosząc tysiące domów, które staną się przedmiotem dyskusji i krytyki, aniżeli przez teoretyczne rozważania, na które zresztą warunki nie pozwalają.

Na teraz, na dziś, chodzi o nadążanie w procesie uprzemysłowienia. I jeżeli wypełnimy te zadania, jeżeli damy tysiącom, które przychodzą do miast i fabryk, wygodne mieszkania — to nie będziemy musieli wstydzić się potomności za domy, któreśmy projektowali w 1947. 48 i 49 r., że nie były monumentalną architekturą współczesnej. Ale za to zespoły tych domów będą dowodami celowej, coraz bardziej harmonijnej, dobrze przemyślanej urbanistyki socjalistycznej. I na tym terenie — wydaje mi się — możemy się poszczycić niejakimi sukcesami.

Bo nie dość na tym, że urbanisci nasi dyalektycznie obnażyli w urbanistycie kapitalistycznej narzędzie ukradku i walki klasowej. O wiele trudniejsze zadanie — to antycypowanie i postulowanie przyszłych osiedli i miast, w których żyć będzie społeczeństwo bliższe już epoce socjalizmu, niż samemu twórcy tych projektów. Urbanistyka polska, będąca sama nadbudową dnia dzisiejszego, a praktycznie jeszcze wczorajszego, projektuje miasta i osiedla, które będą bazą społeczeństwa żyjącego jutro w epoce so-

cializmu. — To niesłychana odpowiedzialność i ciężar, który urbanisci nasi podejmują i z którego wychodzą z honorem.

I stąd wyższość urbanistyki nad architekturą naszego okresu. Bo architekt jest tylko twórcą oprawy kameralnej niejakiego życia prywatnej jednostki, a urbanista tworzy oprawę życia zbiorowego, społeczeństwa.

Piękny wachlarz ulic Nowej Huty, monumentalne założenia główne, rozplanowanie dzielnic mieszkaniowych, przepiękne ich sieci punktów usługowych, rozrywki, domów kultury, szkół, klubów, przedszkoli, wygodna komunikacja między tym wszystkim a głównym zakładem pracy — to niewątpliwie, bezsprzeczny sukces, który w przyszłości będzie nie tylko dowodem naszych rozrachunków z wielowiekową biedą tych stron, ale i z kapitalistyczną urbanistyką, z międzywojennym reformizmem, i z kosmopolityczną dezurbanizacją. Harmonia i ład wewnętrzny budowanych przez nas osiedli to nadbudowa przyszłej socjalistycznej bazy — po tym nas sądzić będzie i powinna potomność.

Bo to przede wszystkim jest przedmiotem największych trosk naszych architektów i urbanistów. I znowu mała dygresja. W 1937 r. rząd wydał ustawę, mocą której wszelkie inwestycje budowlane zmniejszały podatek dochodowy inwestora na lat 15. Praktycznie było to równoznaczne z budowaniem nowych domów przez prywatnych właścicieli za państwowe, a więc społeczne, pieniądze. I wtedy powstały domy Wedla, Karszo-Siedlewskiego, Sepewa, Oskara Robinsona, czy Feniksa w Krakowie, z komorą za lokal 4 — 5 pokojowy 450 — 550 zł miesięcznie. W ten sposób poskramyli za sanacji głód mieszkaniowy.

Wedel, Karszo-Siedlewski i Feniks dbali o to, żeby w wykonczeniu było dużo pożytkliwego niklu, aby drzwi wykładane były formierem zagranicznym i żeby bez za-

rzutu funkcjonował wyciąg do spalania śmieci.

To były troski inwestora wtedy, w dwudziestolecie międzywojennym. I taki też obraz ma architektura, która po nich pozostała.

**WSPOMNIENIE
O BIEDA-SZYBACH**

Spostrzegam się, że ten raport z wycieczki po niektórych oddziałach wielkiego frontu budownictwa mieszkaniowego zamienia się w rozrachunek z przeszłością. Ale nie można przecie patrzeć i oglądać bez porównań, bez zestawień, które są niezwykle wymowne.

A chcę mówić tylko o budowie, o tym, że oglądałem wiele setek izb z 81.000 oddanych w roku ubiegłym do użytku, że byłem na wielu dziesiątkach placów budów, z 543, jakie są w tym roku czynne, że oglądałem atak urbanistyki socjalistycznej na wielkie miasta i małe miasteczka, widziałem atak od czoła, od przedmiotu, od środka, od rynku. Widziałem nowe domy w pięknej renesansowej szacie i niewielkie pudelka szarych domów na nieuprządkowanym jeszcze terenie. Rozmawiałem z ludźmi, którzy już tam mieszkają. I wierzcie, pomimo tych czy innych braków, wszędzie widziałem radość i zadowolenie.

Czyście widzieli, kiedy naturalna śmierć domu? Jak opada dach, niby głowa człowieka umierającego na śledząco, jak rozspływają się skruszałe mury? Oglądał się to w Chrzanowie, w Łodzi, w Częstochowie. Takich trupów jest w Polsce mnóstwo. I nie ma przy tym już co robić. Nie ma co reperować. To trzeba po prostu zebrać w kupkę i uprzętnąć. I budować nowe.

To się robi w Chrzanowie dla metalowców z tamtejszej fabryki i dla hutników w Trzebinie.

To się robi dla tkaczy w Andrychowie i dla szewców w Chełmku.

I w Skawinie, i w Żywcu, i w Rzeszowie.

To się robi w Jaworznie, w Nivce, i w Sosnowcu.

I znowu historia się narzuca.

W Jaworznie oglądał się osiemnastu plac budowy. Buduje się tam osiedle dla 6.000 ludzi. Ale z jakimi kłopotami. Kierownik budowy opowiada nam po placu budowy, pokazuje kilka wykopów pod fundamenty, ogrodzonych ale nieczyszczonych. Zatrzymano wykopy. Niezależnie na „historyczne” wykopaliska — bieda-szyby. Te ślady „dawnych, dobrych czasów” są powodem nym kłopotem i przeszkodą w budownictwie.

Okazuje się, że budowa jest nie tylko od zezwolenia Instytutu Geologicznego Akademii Górniczej (chodzi o to, czy dom stanie na węglu i czy ziemia się nie „rusza”), ale i... o historii.

I znowu historia. Trzeba przejść ulicami „starego” Sosnowca, który jeszcze 80 lat temu był wsią tylko, trzeba widzieć jego zabudowę z kresu kapitalistycznego, żeby nie krzywić estetyzującego na najbardziej nawet nieudane budownictwo ZOR.

Na osiedlu przy ul. Rudnej w Sosnowcu nie jest ładnie. Pomimo architektury. Nie ma jeszcze żelaznych, które znakomicie podnoszą walory estetyczne osiedla i jego urbanistyki, a nawet ożywiają architekturę. Wreszta — jak tłumaczy jeden z oprowadzających nas architektów — w klimacie śląskim żaden dom nie utrzyma swojej świeżości. Wszystko tam szarzeje.

Na placu wewnątrz osiedla spotykamy trzech chłopców. Bawią się razem. Tak jak w Warszawie w Mariensztacie, w Gdyni, czy w Rzeszowie. Mają po 8 — 10 lat. Jeden z nich jest synem inżyniera-geodety, drugi synem elektryka, trzeci synem górnik. Ktoś z nich wiele lat był „bieda-szybką”. Rodzice chłopców mają jednakowe mieszkania. Każdy ma po dwa pokoje z kuchnią, no i oczywiście z wszelkimi wygodami. I wszyscy są zadowoleni. Nie tylko górnik — bieda-szybkarz, któremu mieszka-

Z PRASY RADZIECKIEJ

SPRAWA SPUŚCZINY PO MAKARENCE

Inicjatywa dyskusji, jaka toczy się od wielu miesięcy na łamach „Literaturno-Gazety”, wyszła ze strony pedagogów, związanych bezpośrednio z praktyką szkolną. Zarzuty skierowane były pod adresem autorów podręczników, kierowników instytucji pedagogicznych i sprowadzały się do tego, że doświadczenia Makarenki, wybitnego pedagoga, nie zostaje w wystarczający sposób uwzględnione w podręcznikach, które wspominają o nim jedynie pobieżnie, mimo chęci, zakładając, że doświadczenia jego dotyczyły w głównym stopniu dzieci nienormalnych i dlatego nie może być powszechnie wykorzystane. Sprawa aktualności i możliwości szerokiego stosowania wniosków sformułowanych w książkach Makarenki, a zdobytych przez niego w okresie wieloletniej pracy pedagogicznej, była główną osią, dookoła której obracały się poszczególne wypowiedzi dyskusyjantów.

Wigdorowa, która zainicjowała dyskusję artykułem zatytułowanym „Cenna spuścizna” (Lit. gaz. Nr 122, 1950 r.), przypomina o wielkiej popularności utworów Makarenki. „Książki jego — pisze Wigdorowa — czytają się z wzruszeniem, śledząc z gorącą sympatią dzieje kolonii i jej trudne dni, uparte pokonywanie Makarenki, sprzeciwy prowadzone z samym sobą, długie wysiłki na nocach. „Nie ma prawdziwie podobnie na świecie książki, która by z takim przejęciem opowiadała ludziom o wielkiej roli wychowawczej nauczyciela i jego odpowiedzialności. Czytelnik Makarenki wie, na nowo przekonuje się, jak trudna nauka jest pedagogika, a przy tym jakże bogata i ciekawa — jest to jedna z najbardziej ruchliwych, urozmaiconych i komplikowanych nauk”.

Dalej Wigdorowa analizuje cechy systemu wychowawczego, reprezentowanego przez Makarenkę. Główną jego zasadą było: „Okazywać jak największą szacunek dla człowieka i jak największą od niego wymagać”. „Dlaczego — zastanawia się autorka — piękna ta myśl, powtarzana przez wybitnego pedagoga naszego czasu za wielkim inżynierem dusz ludzkich, Gorkim, miałaby stać się własnością jedynie tych, którzy pracują nad przezwyciężeniem? Z równym powodzeniem można by twierdzić, że idea Makarenki może znaleźć zastosowanie nie jedynie w obwodzie tambowym”.

Przypominając wielką rolę, jaką odegrała grupa komсомольска i samorząd kolonii im. Gorkiego, Wigdorowa, jak zresztą i inni dyskusjanci, podkreśla wielkie zasługi Makarenki, położone w dziedzinie stworzenia kolektywu dziecięcego i rozwoju u dziecka poczucia kolektywności. Makarenko twierdził nie bez podstawy, że wszystkie 16 lat swej pracy pedagogicznej w warunkach radzieckich poświęcił zagadnieniu tworzenia kolektywu dziecięcego. „Młodzi, wychowawcy... nie może być w życiu jedynie nosicielem swej osobistej doskonałości, jed-

nie uczciwym i dobrym człowiekiem. Powinien on zawsze występować i działać, jako członek kolektywu, odpowiedzialny zarówno za swoje postępowanie, jak i za postępowanie swoich najbliższych”. W praktyce — podaje autorka — piękna ta idea wybitnego pedagoga nie zawsze zostaje realizowana. W szkołach zdarza się często traktowanie występków ucznia wyłącznie jako konfliktu między nim a nauczycielem lub dyrektorem, zapominając całkowicie o konieczności wciągnięcia do tego oddziału pionierskiego lub organizacji komсомольска.

W wielu szkołach pojęcie dyscypliny sprowadza się do pojęcia regulaminu, porządku. Znaczenie głębokiej pojmuje o sprawę Makarenko. Traktował on dyscyplinę nie jako środek wychowania, ale jako jego wynik, uzupełniając to w następstwie twierdzeniem, że dyscyplina może stać się później także środkiem wychowania.

Wielką zaletą Makarenki była wiara w siłę wychowania, w nieograniczone możliwości pedagoga. „Twierdził kategorycznie — mówi Makarenko — występując przed nauczycielami w przededniu swojej śmierci — i powtarzam to całe życie: ani jednego procentu odpadków, ani jednego straconego życia”.

Fakt, że szkoła radziecka poszła naprzód, że pewne zagadnienia, postawione przez wybitnego pedagoga, są już w tej chwili nieaktualne, a inne zostały głębiej opracowane i rozwinięte, wcale nie świadczy o tym, że należy odgradywać pedagoga radzieckiego od jego doświadczeń — pisze w zakończeniu Wigdorowa. Poddaje ona ostrej krytyce praktykę tych instytucji pedagogicznych, które nie uwzględniają w wystarczający sposób systemu Makarenki i lekceważą jego doświadczenia. Zastługą Makarenki było śmiałe torowanie nowych dróg naukowej i praktycznej pedagogiki, opracowanie na podstawie teorii marksistowsko-leninowskiej najważniejszych zasad komunistycznego wychowania.

Stanowisko Wigdorowej popiera inny dyskusyjant, dyrektor szkoły, Pomerancowa. Przeprowadza ona analizę radzieckiego podręcznika pedagogiki, stwierdzając na licznych przykładach niefrasobliwy stosunek autorów do spuścizny Makarenki. „Nie chodzi o to, by podkreślić poszczególne chwytły, ale by jego idee przenikały cały podręcznik”.

Wiele ciekawych myśli o Makarence wypowiada jeden z jego uczniów. S. Kałabanin, który od wielu lat pracuje sam jako nauczyciel, w artykule zatytułowanym: „Najważniejsze” (Lit. Gaz. Nr 35 — 1951). Przecistawia się on stanowisku poglądów, jakoby w kolonii im. Gorkiego znajdowały się dzieci nienormalne, w związku z czym zasady Makarenki nie nadawałyby się do szerokiego stosowania we wszystkich innych szkołach.

„Chciałbym stanowczo zaprotestować przeciwko etykietce „nie-

normalne”, jaką zwykle przyklepiają wychowankom kolektywu im. Gorkiego. Sumując swoje spostrzeżenia na temat tego, jak powinna być wykorzystana spuścizna Makarenki i co w niej jest aktualne, Kałabanin pisze: „Sumienie pedagogiczne, poczucie odpowiedzialności, namiętne ukochanie sprawy, wysokie wymagania stawiane dzieciom i szacunek dla nich, szeroka inicjatywa wychowawcy, śmiałość i optymizm, — oto cechy, które należy sobie przyswoić z jego książek. W jego cennej spuściznie znajdujemy prawie wszystkie konkretne wypadki, wynikające z codiennej praktyki nauczycielskiej, i my, radzieccy pedagodzy, musimy uczyć się od niego, uczyć się nie mechanicznie, lecz rozumnie i umiejętnie korzystać z jego doświadczenia... Gdy uświadamiamy sobie nie poszczególne chwytły, ale samą istotę jego systemu wychowawczego, wtedy dopiero czujemy się naprawdę ślni w kolektywie dziecięcym”.

Szczupłe rozmiary przeglądu prasy nie pozwalają na podanie wyczerpującego sprawozdania z dyskusji, która obejmuje już w tej chwili kilkanaście obszernych wypowiedzi. Oprócz wspomnianych wypowiedzi ukazał się polemizujący z stanowiskiem Wigdorowej i Pomerancowej artykuł autora zaatakowanego podręcznika prof. Szybirewa. Zarzuca on im między innymi zbyt pesymistyczną ocenę współczesnych osiągnięć pedagogiki radzieckiej, kwestionuje aktualność i przydatność wielu cytowanych przez nich wypowiedzi Makarenki. Na fakt, że zagadnienie wykorzystania spuścizny Makarenki przesłania w wymienionych autorek aktualne zadania, stojące przed pedagogiką radziecką na obecnym etapie bu-

downictwa komunistycznego, wskazuje wypowiedź innej dyskusyjantki, Tamary Leontiewej (Liter. Gaz. Nr 57). W artykule zatytułowanym: „Prof. Szybirew nie ma racji” członek — korespondent Akademii Nauk Pedagogicznych podtrzymuje zarzuty Pomerancowej, skierowane pod adresem autorów podręcznika pedagogicznego.

Na uwagę zasługuje umiejętność pokierowania dyskusją przez „Liter. Gazetę”, obiektywne reprezentowanie różnorodnych poglądów, wreszcie sam fakt prowadzenia jej na łamach pisma literackiego. Obok spuścizny wielkiego pedagoga, oibryzmiego doświadczenia zdobytego przez niego w dziedzinie psychologii wieku dorastającego — nie powinien bowiem przejsz obojętnie żaden pisarz, a już zwłaszcza piszący dla dzieci i młodzieży.

Na razie trudno uważać dyskusję, trwającą pięć miesięcy, za ukończoną, ale już w tej chwili należy stwierdzić, że jej zasługą jest przypomnienie pedagogom i czytelnikom doświadczeń Makarenki, zawartych w jego świetnym dziele „Poemat pedagogiczny” i w innych utworach, szeregu jego cennych spostrzeżeń i wniosków zdobytych w codziennej i żmudnej, trwającej wiele lat pracy pedagogicznej. Wreszcie przypomnienie czytelnikom samej postaci Makarenki, który łączył w sobie cechy pedagoga, teoretyka i praktyka, humanisty i rewolucjonisty i który może stać się wzorem dla wielomilionowej armii nauczycieli, nie tylko Związku Radzieckiego. Nie ulega wątpliwości, że doświadczenia Makarenki posiadają wielkie znaczenie także dla polskiego nauczycielstwa i to szczególnie na obecnym etapie formowania się pedagogiki marksistowskiej.

Ego

WŚRÓD KSIĄŻEK

M. Piniegin: „Gieorgij Sjedow” — tłum. Irena Wolffowa, Wyd. „Książka i Wiedza”, Warszawa, 1951, — str. 380.

Gieorgij Sjedow, to imię słynnego rosyjskiego badacza krajów polarnych, jednej z najpiękniejszych i najbardziej bohaterskich postaci wśród licznych zastępów rosyjskich żeglarzy — odkrywców. Syn prostego rybaka niezwykłą wytrwałością zdobył wyszczałenie, został oficerem marynarki, członkiem trzech towarzystw naukowych, kierownikiem wielu ekspedycji polarnych, w tym ostatniej i najgroźniejszej, tragicznie zakończonej wyprawy do bieguna północnego w 1912 r. Życie Gieorgija Sjedowa, to nieprzerwane pasmo walki ze zgnilizną kapitalistycznego, obszarzarnego ustroju, bezduszością carskiej biurokracji i przesadami kastowymi, usiłującymi stłumić w narodzie wszystko, co w nim było nowe i śmiałe.

Autor książki, przyjaciel i towarzysz bohatera wyprawy biegunowej, odmalował życie jego w sposób prosty i porywający; z nie-

przeciętnym talentem literackim oddał dramatyczne napięcie jego walki, odsłonił jej społeczno-polityczne podłoże, zdemaskował zakulisową grę przedstawicieli panującego ustroju, ich zbrodniczą ignorancję, małostkowość i zachlanność, których ofiarą — w wyniku zorganizowanego spisku — padł Gieorgij Sjedow.

Dziś, gdy władza radziecka otworzyła nieograniczone możliwości rozwoju różnorodnych talentów, badania krajów polarnych stały się podstawą ekonomicznego i kulturalnego rozwoju olbrzymich północnych przestrzeni, książka M. Piniegina skłania do głębszych refleksji.

bk

Mikołaj Atarow: „Opowiadania” — przełożył z języka rosyjskiego B. Zyrank — Wyd. „Książka i Wiedza”, Warszawa, 1950 — str. 233.

Łata wojny domowej, pokojowego budownictwa socjalistycznego i wielkiej wojny w obronie ojczyzny — oto to historyczne pięknych opowiadań Atarowa, Nicią, wiążąca

duże się już nowe mieszkania. Byliśmy w Łodzi na Bałutach i na Stokach, skąd rewolucja otworzyła atak na tępat kratownicę ulic ciasnego śródmieścia. Byliśmy w Kielcach, gdzie przywracały się szlachetny rysunek urbanistyki dawnych wieków, otaczając miasto osiedlami robotniczymi, które nadadzą mu nową zupełnie treść.

I wszędzie, w ciągu całej naszej wędrówki widzieliśmy setki wind wyciągowych i rosnące mury nowych milionów metrów sześciennych. Wszędzie widzieliśmy nowe bloki mieszkaniowe już oddane do użytku, przedszkola i szkoły z lakierowanymi drzwiami i pięknymi posadzkami. I wszędzie ludzie, którzy się uśmiechają na widok odwiedzających, radośni i zadowoleni z tego, co już osiągnęliśmy, bo to gwarancja realizacji dalszych zapowiedzi.

I wszędzie nasuwały się nieodparte pewne skojarzenia historyczne.

Myślałem o naszych architektach i urbanistach, którzy tworzą ramy nowego życia, życia już w epoce socjalizmu. I o tragicznych przodkach ich, o wielkich marzycielach — utopistach, którzy w wizjach swoich widzieli miasta, marzyli o innym, lepszym zorganizowaniu życia. I nigdy marzeń swoich w realizacji nie widzieli.

Zeromski nie oglądał swoich szklanych domów, pomimo, że nazwę tę przypieczętował domem WSM przed wojną. Corbuser był szczęśliwszy w wizji niż w jej realizacji.

A u nas sprawa jest dziwnie prosta. U nas mówi się o konkretnych zadaniach. U nas chodzi o socjalistyczny atak na pozostałości kapitalistycznego miasta, o podbój śródmieścia — obojętne, od środka, czy od zewnątrz. Chodzi o to, żeby zmusić śródmieście do zmiany funkcji przez oświecenie wywołane na przedmieściach, chodzą o rozsiedlenie hermetycznej klasowej śródmieścia.

A przecie niedawno jeszcze były to utopie...

Andrzej L. Wróblewski

KORESPONDENCJA

LIST Z ARCHIPELAGU LUDZI ODZYSKANYCH

Był zwykły, normalny dzień pracy bliźniaczko podobny do innych dni. Na tablicy ogłoszeń w jednym z zakładów naprawy sprzętu traktorowego na Mazurach naklejono afisz Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, a ktoś źle poinformowany wpisał, że odbędzie się odczyt literacki, który przeprowadzi prelegent z miejscowego komitetu PZPR.

Zebrana na hali silnikowej załoga dowiedziała się dopiero od samego prelegenta, że sprawa tego odczytu wygląda trochę inaczej, że po prostu pisarz-poeta wyjechał w teren, aby spotkać się wprost z robotnikami w jego zakładzie pracy. A to jest całkiem coś innego, z tym naszą załogą spotkała się po raz pierwszy. Po raz pierwszy na terenie naszego zakładu twórcą nowej socjalistycznej literatury spotkał się z odbiorcą-robotnikiem remontującym traktory dla FOM, SOM i PSR. Spotkania literatów z robotnikami to już nie jest wprawdzie coś nowego: spotykaliśmy się i spotykamy z tego rodzaju imprezami na terenie fabryk w większych ośrodkach przemysłowych — jak Śląsk, Łódź, Nowa Huta, ale na Mazurach literaci z robotnikami spotykali się dotąd rzadko. Nie znaczy to, że robotnicy nie interesowali się życiem literackim. Tylko miejscowe Związki Zawodowe nie dość aktywnie organizowały wśród robotników spotkania literackie. Oprócz kilku afiszów o suchej treści, rozlepionych na mieście nie zrobiono nic więcej.

Mazury to piękny kraj, ale to nie tylko kraina tysiąca jezior, pięknych widoków lasów, to nie tylko królestwo ptaków i ojczyzna dzikich łabędzi pod Mikołajkami, ale także setki Państwowych Gospodarstw Rolnych, dziesiątki spółdzielni produkcyjnych i nowo powstałych zakładów pracy i tysią-

ce nowych, odzyskanych ludzi z wielką czołówką przodowników pracy. Mazury to także wielki ugor kulturalny, który czeka na pracowite ręce, który trzeba zarość.

My, robotnicy z Mazur, chcielibyśmy też znaleźć większą pomoc i opiekę w naszych zainteresowaniach kulturalnych. Z zainteresowaniem czytamy wiersze o górnikach, hutnikach, powieści o twórczej pracy ludzi zdających szybki krok do socjalizmu.

Mazury to kopalnie tematów, ale oprócz jednej bodajże książki „Archipelag ludzi odzyskanych”, J. Neverlego, nikt więcej nie sięgnął po temat Mazurów.

Dwa lata temu w 1949 r. Wojewódzki Zarząd ZMP w Olsztynie rozpiął konkurs na opowiadanie lub wiersz na temat „Warszawa — moja stolica”. Konkurs pod protektorem wojewody olsztyńskiego miał na celu zainteresowanie młodzieży Warmii i Mazur odbudową Warszawy z jednej strony, a wywołanie talentów z drugiej wśród robotniczej młodzieży. Napłynęło dużo prac, za najlepsze prace przyznano wiele cennych nagród, i na tym się skończyło.

Organizatorzy konkursu popełnili błąd, że nie umieli wciągnąć młodzieży do dalszej pracy, nie potrafili skupić wokół ZMP laureatów konkursu.

Zainteresowanie ludności Mazur życiem literackim wzrasta z każdym rokiem. Podam dla przykładu, że w miasteczku, w którym mieszkam, liczącym nieco ponad 6 tysięcy ludności w roku 1948—1949 sprzedawano w dawnym „Czytelniku” tygodniowo od 8 do 10 egzemplarzy „Kuznicy” i 5—7 „Odrodzenia”, a w roku 1951 — sklepy „Ruch” rozprawdzają tygodniowo około 100 numerów „Nowej Kultury” oraz dwutygodniowo około 50—60 numerów „Życia Literackiego”.

Mazury i Warmia nie posiadają własnego pisma literackiego i myśl o nim zostanie długo jeszcze w kręgu marzeń, nie ma tu również klubu młodych pisarzy, który powinienby powstać. Płocówki, które podjęły się pracy oświatowej w terenie, jak teatr S. Jaracza w Olsztynie i Tow. Wiedzy Powszechnej borykają się z wieloma trudnościami i tym bardziej zasługują na uznanie.

Na Mazurach zaczyna się obecnie sezon turystyki i wczasów, piękne jeziora i lasy mazurskie przyciągną niejednego z turystów, przyciągną może niejednego z pisarzy i poetów. Może ktoś z nich zechce pozostać dłużej i bliżej poznać ten kraj. Pracy jest dużo, znajdują się i chętni do pomocy. Mazury czekają, Mazury zapraszają.

Jerzy Drzewnicki
Mragowo TOR

OŚWIADCZENIE

Do mojego przekładu „Szkieł o Tatrach” Juliana Marchlewskiego Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej wprowadziło bez porozumienia się ze mną szereg odmian stylistycznych tekstu. Ponieważ nie nadesłano mi ani jednej korekty, zmiany zauważyłem dopiero po wydrukowaniu całego nakładu.

Zarówno niezgodnością adiestacji jak i niedobra korekta literowa całości zmusza mnie do publicznego oświadczenia, że nie biorę na siebie pełnej odpowiedzialności za wydany przekład, chociaż zniekształcenia tekstu nie są tak zasadnicze, aby dyskwalifikowały wartość książki.

Adolf Sowiński

Warszawa, dnia 16 lipca 1951 r.

DZIERŻYŃSKI FELIKS PISMA WYBRANE zł 15,—
DZIERŻYŃSKI FELIKS PAMIĘTNIK WIEŹNIA zł 4,—
DANISZEWSKI T. FELIKS DZIERŻYŃSKI— NIEUGIĘTY BOJOWNIK O ZWYCIĘSTWO SOCJALIZMU zł 4,50 w oprawie, zł 3,50 broszura
FELIKS DZIERŻYŃSKI 1877 — 1926 Album zł 40,—
GERMAN J. OPOWIDANIE O FELIKSIE DZIERŻYŃSKIM zł 6,—
DANISZEWSKI T. FELIKS DZIERŻYŃSKI WIELKI SYN NARODU POLSKIEGO zł 0,80
LEWIN L. POEMAT O DZIERŻYŃSKIM zł 3,00
W księgarniach i CDM KSIĄŻKI

ALEKSANDER GRIBOJEDOW MĄDREMU BIADA Komedia wierszem w 4 aktach str. 113 zł 8,—
„C Z Y T E L N I K”

SKARBOFERM I BYKOWINA
Przejeżdżamy obok kopalni „Polna”. Przed wojną była to jedna z niewielu kopalni administracyjnie bezpośrednio przez aparat spółki Skarboferm.
Kopalnia leży z jednej strony drogi. Po przeciwnej — przedwojenne osiedle robotnicze.
Długa chwilę patrzyliśmy onieśmieleniu na to dziwne zjawisko. Bo widzieliśmy, że kapitał budował dla siebie nie dla zaspokajania potrzeb klasy robotniczej. Dla robotników budował kapitał już tylko w interesie, gdy był zmuszony, zwanym rozrzućnością miejsca, niebezpieczeństw i okropnej brzydoty.
Wyobraźcie sobie rząd 10 — 12 domów, ustawionych w półkole. (Nie w tym widzieliśmy, prawda? — Amfiteatr małych domków indywidualnych). Ostro rysuje się na niebie naciąg linii strzemiących dachów. Ale na dachach płaszczyźnie ściany małe domki wejściowe i na piętrze dwa okienka. Co to — kurniki? Kurniki? Chyba za duże. Chleb? Bardzo przypominają je. Ale kurniki drewniane stoją opodal. Widać jednak domy dla ludzi!

EDMUND OSMANCZYK

Żandarmi Europy Zachodniej

W dniu 25 czerwca 1940 r. burżuazyjna Francja skapitulowała przed hitlerowskimi generałami. Przedtem nastąpiła kapitulacja Norwegii, Holandii, Belgii, Luxemburgu. W lipcu Hitler odznaczył swych zwycięskich generałów rycerskimi krzyżami. Był to początek wielkiej kariery wojskowej Guderiana, Halderów, Falkenhausenów, Heusingerów, Speidlów.

W dniu 9 lipca 1951, prawie że w rocznicę odznaczenia Guderiana et consortes przez Hitlera, burżuazyjne rządy Francji, Norwegii, Holandii, Belgii, Luxemburgu ponownie skapitulowały przed znanymi im dobrze od jedenastu lat hitlerowskimi generałami. Do aktu kapitulacji dołączyły się poza tym wszystkie pozostałe państwa, które podlegają trumanowskiemu przymusowemu zarządowi z racji swojej zależności gospodarczej od Stanów Zjednoczonych, a więc „Wielka” Brytania, Włochy, Dania, Cuba, Chile... 9.VII.51 „zakończony został stan wojny z Niemcami”.

Pamiętam pogardliwe uśmiechy Amerykanów w Berlinie, kiedy władze brytyjskie w r. 1943, w okresie ostrych starć między gen. Robertsonem a gen. Clayem, wydały króciutki komunikat, że Brytyjski Trybunał Wojskowy skazał na 5 lat ciężkiego więzienia jakiegoś Niemca, który pełniąc funkcję lokaja u głównodowodzącego wojsk brytyjskich w Niemczech, gen. Robertsona, udzielał informacji wywiadowej... amerykańskiemu!

Podobnych przykładów ze stosunków brytyjsko- i francusko-amerykańskich w Niemczech z minionych lat sześciu przytoczyć by można było wiele. Oświecila one bardzo istotny punkt polityki amerykańskiej w Europie, mianowicie dążenie do zdobycia sobie sojusznika w Europie Zachodniej również przeciwko zbyt natrętnym, względnie zbyt przeczulonym sojusznikom zachodnio-europejskim. Takim naturalnym sojusznikiem imperializmu amerykańskiego w wewnętrznej rozgrywce z imperializmem francuskim i brytyjskim był w przeszłości i jest oczywiście obecnie stary imperializm niemiecki, który straciwszy wszystko, mógł odbudować się tylko przy pomocy Trumana kosztem Francji i Anglii. Tak się też stało, z tym, że oczywiście faktyczne koszty tej odbudowy imperializmu niemieckiego ponoszą masy pracujące Trizonii, Anglii, Francji i Beneluxu.

Walter Ulbricht w podstawowym referacie o odbudowie niemieckiego imperializmu na posiedzeniu Komitetu Centralnego SED 13 czerwca 1951 stwierdził między innymi: „Odbudowa imperializmu niemieckiego przez imperializm amerykański znalazła swój wyraz w następujących punktach:

1. W odbudowie potęgi niemieckich przemysłowców zbrojeniowych, panów z koncernów i banków, którzy zawsze byli jak najściślej związani z amerykańskim i angielskim kapitałem monopolistycznym.
2. W remilitaryzacji Niemiec Zachodnich poprzez tworzenie armii lądowej, lotnictwa i floty wojennej w celach agresywnych, które nie-

styczne monopole i przez powiązanie tych monopolów z organami państwa, dalej przez przejście do terrorystycznego mas pracujących za pomocą faszystowskich legionów i związków byłych oficerów, wreszcie przez pozabawienie narodu praw demokratycznych w celu przeprowadzenia remilitaryzacji przez kapitał monopolistyczny.”

„Jeśli postawiono by pytanie, czy można już mówić o ponownym ekspansji niemieckiego kapitału, to chciałbym wskazać na fakt, że w chwili obecnej około 400 zachodnio-niemieckich inżynierów zatrudnionych jest w Afryce Północnej przy wykonywaniu zadań inwestycyjnych, w których bierze udział niemiecki kapitał finansowy. Również w krajach Bliskiego Wschodu oraz w Indiach stwierdzić już można wkłady zachodnio-niemieckiego kapitału. Rzeczą charakterystyczną jest to, że kapitał finansowy USA zapewnił niemieckim monopolistom te możliwości eksportu kapitału kosztem angielskich i francuskich interesantów.”

Wypowiedź Waltera Ulbrichta, zastępująca na specjalną uwagę wszystkim interesującym się problemem niemieckim, streszcza się w stwierdzeniu, że „jasnym jest, iż imperializm amerykański uczynił dziś swoim głównym sojusznikiem w Europie imperializm niemiecki”.

Jednocześnie z restaurowaniem siły kapitału monopolistycznego w Niemczech Zachodnich Amerykanie wprowadzili poprzez Plan Marshalla i Pakt Atlantyczny całkowite uzależnienie krajów zachodnio-europejskich od polityki Waszyngtonu. „Przejściowa zależność” burżuazyjnego zachodnio-europejskiego od burżuazyjnego amerykańskiego zmienia się w „trwałą podległość”.

W tym stadium Amerykanie Trumana postanowili przejść do następnego etapu, mianowicie do uzbrojenia Niemiec Zachodnich, których zadanie w koncepcji amerykańskiej ma być dwójakie:

1. Niemcy Zachodnie, jako autonomiczna siła gospodarcza i militarna imperializmu niemieckiego, mają spełniać rolę żandarma interesów imperializmu amerykańskiego w Europie Zachodniej.
2. Niemcy Zachodnie, jako wspólna baza gospodarcza i militarna imperializmów amerykańskiego i niemieckiego, mają spełniać rolę wojennej bazy wypadowej na Wschód.

Ostatnią przeszkodą formalną w uzbrojeniu Niemiec Zachodnich był fakt trwania stanu wojny z Niemcami. W dniu 9 lipca 1951 na rozkaz Waszyngtonu rządy marszałkowskich krajów musiały skapitulować przed nową armią hitlerowską, której dowództwo po Hitlerze obejmuje Eisenhower.

Tę kapitulację klik rządzących Europą Zachodnią należy podkreślić jak najmocniej. Jest to bowiem istotny aspekt obecnego etapu polityki amerykańskiej w Europie.

Cóż jednak faktycznie osiągnąć może w Europie Ameryka Trumana tego rodzaju polityka? Tylko to:

1. W Europie Zachodniej podległość imperializmowi amerykańskiemu i zależność od imperializmu niemieckiego wywołująca będzie coraz silniejszy sprzeciw tamtejszych mas pracujących i to sprzeciw zarówno społeczny jak i narodowy.

2. Na wschód zaś od Łaby aż po Morze Chińskie wszystkie narody skupią się jeszcze mocniej wokół potężnego Związku Radzieckiego, ostoi pokoju, obrońcy niepodległości krajów wyzwolonych spod przemocy imperialistycznej.

Fatalna pomyłka Trumana polega na tym samym błędzie, który popełnił już Hitler: chce on „jednoczyć Europę” z pomocą Guderiana i Falkenhausenów, Halderów i Speidlów, Krümmów i Pfendnerów... Edmund Osmańczyk

W odpowiedzi Lichniakowi

W artykule pt. „Każdemu więcej niż mu się należy” (Dziś i Jutro” nr 28) Zygmunt Lichniak sugeruje m. in., że moje zarzuty pod jego adresem, zawarte w artykule „Tęgoroczna produkcja poetycka”, zarzuty, iż broni on w praktyce „poezję irracjonalną” i propaguje „wiersze, będące przykładem fałszywej poetyzacji i nastrojowości” — nie zostały udowodnione odpowiednimi argumentami. Lichniak utrzymuje, że zarówno jego walka z „prozaizmem”, jak podkreślanie przezeń „braku dostatecznych narzędzi poznawczych, które pozwoliłyby bez reszty zrozumieć zjawiska poetyczne” to tylko „zabieg profilaktyczny”, ostrzeżenie przed wulgaryzacją problematyki poetyckiej, które nie ma nic wspólnego z obroną irracjonalizmu.

Odrzućmy na chwilę przypuszczenie, że zarzut braku argumentów w mojej polemice wynika z Lichniaka tylko ze swoistej „taktu obronnej”. Ze istotnie nie jest on w stanie ich dostrzec w moim dość marginesowym — to prawda — wypadzie pod jego adresem. Miałem prawo sądzić, że przesłanki, które opuściłem w moim rozumowaniu — i które nie tylko mnie wydawały się i wydają dość oczywiste, będą jasne i dla bystrego umysłu kol. Lichniaka. Założmy jednak, że się omyliłem i że Lichniak naprawdę nie wie, o co chodzi.

Otóż w istocie nigdy nie posadzałem Lichniaka o to, iż przyniósł do obrony irracjonalizmu w poezji. I w istocie twierdziłem i będę nadal twierdził na zasadzie własnych jego słów, że tego irracjonalizmu broni. Być może, iż każdy z nas, co innego chce rozumieć pod tym pojęciem. Dla mnie właśnie akcentowanie „braku dostatecznych narzędzi poznawczych, które pozwoliłyby bez reszty zrozumieć zjawiska poetyckie” jest torowaniem drogi irracjonalizmowi. Zdaję sobie sprawę, że Lichniak nie broni irracjonalizmu programowo, np. poezji czystego nonsensu. Lichniakowi chodzi niestety o brak narzędzi dla zbadania procesów psychiki twórczej.

Nam zaś chodzi o taką treść poezji, która dałaby się obiektywnie wyjaśnić, która byłaby interesującą i zrozumiałą zwierzchnią pewnej rzeczywistości społecznej. Brak ścisłych narzędzi dla zbadania psychologicznego rodowodu wzruszenia poetyckiego w poszczególnych poetyckich zwrotach i obrazach nie stoi naszym zdaniem na przeszkodzie dającej się do końca przeprowadzić analizie ideowo-artystycznej utworu poetyckiego, pozwalającej określić, czy utwór ów jest jasny czy niejasny, mobilizujący czy demobilizujący, postępowy czy wsteczny.

Dla nas takie postawienie sprawy to nie jest wulgaryzacja problematyki poetyckiej, ale właściwie jej ustawienie. Inaczej było w dwudziestolecie międzywojennym. Właśnie wtedy krytyka mówiła często o „braku precyzyjnych narzędzi poznawczych”, znajdując uzasadnienie dla tego rodzaju twierdzeń w różnych odmiannych idealistycznej filozofii. I prowadziło to do irracjonalizmu w poezji, którego przykłady daje twórczość wielu, nawet najwybitniejszych, poetów owej epoki. Czy Lichniak o tym nie wie? Na pewno wie.

Jakie są dowody na to, że Lichniak broni fałszywej poetyzacji i nastrojowości? Proszę przeczytać wiersze z Kolumny Młodych na łamach poetyckiego numeru „Dziś i Jutro”. Usilne akcentowanie owego „braku precyzyjnych narzędzi” krytyki prowadzi prostą drogą do poezji, która ów brak narzędzi będzie się starała swą praktyką potwierdzić. Ileż to utworów w okresie międzywojennym napisano zastraszającą zasadą: czytelnik tego nie zrozumie, bo czytelnik jest tępy, „niewtajemniczony”. Oderwano poezję od czytelnika, uczyniono elitarną, hermetyczną „sztuką dla sztuki”. Dzisiejsi poeci starają się być czytelnik, zwracając się z powrotem z masami odbiorców. Nie zawsze im się to udaje. Trzeba im w tym pomóc. Krytyka, czasem nawet surowa. Czy pomaga się im jednak atakując przede wszystkim „prozaizm”, podkreślając, że „poezja jest jak mima” i że „nie daje się jej rozłożyć na czynniki pierwsze”? Nie. W ten sposób broni się mizernych bastionów estetyzmu i formalizmu. Bateria poetycka, którą prowadzi Lichniak, nie łoczy się przecież w próżnię, ale w konkretną sytuację kulturalną.

r. m.

Do chrzanu!

Tygodnikowego poeły Tadeusza Chrzanańskiego rozpiera duma. „Nowa Kultura” przedrukowała jego „wiersz”. Wprawdzie tylko w komentarzach i nonparellem, wprawdzie komentarz określa cały wiersz jako bełkot, ale cóż za okazja! Do-

bry Turowicz pozwolił Chrzanowi wypisać o tym całą szpalte („Tygodnik Powszechny” nr 27), wszystko dokładnie streścić i zemścić się za „bełkot” ślicznym epitetem: cymbały. W ten sposób rzecz oceniona została rzeczowo i głęboko, a „egzegeza” własnego utworu, jaką przeprowadza Chrzan, ma rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości czytelników „Tygodnika”. Te próby zamiatania śladów ogniem i sugerowanie, że jestem nie dość subtelny — nie ma wiele się Chrzanowskiemu zdali. Żeby nie mógł udawać, że nie rozumiał naszego żartu na temat związku, jaki istnieje między jego wierszem a watykańską polityką części naszego episkopatu, stawiamy kropkę nad i. Związek ten widzimy w tym, że zarówno rzeczniczo polityki jak i autor omawianego wiersza nie widzą i nie chcą widzieć polskiej rzeczywistości współczesnej, udając, że czczą pamięć tych, co zginęli, usiłując przeciwstawić piękno ich ideałów — ich



zdaniami „niespełnionych” — pozostaje i płaskiej — ich zdaniem — współczesnej rzeczywistości. Zamiast widzieć w „plakatach z nauką i piosenką” przedłużenie i realizację pragnień tych, co zginęli, usiłują zasugerować ich wzajemną przeciwstawność, pod pozorem „autokrytyki”, usiłują zasugerować, że współczesność — to owa „zgnila młodzież”. Czy ta ich „autokrytyka” jest szczera? Niech odpowie jedno zdanie Chrzana:

Krawaty i rękawy, metafory i mity a zwłaszcza ów dym po kawiarniach — to rzecz o takiej nieco „zgnilej” młodzieży. Ocena negatywna i autokrytyczna. Jednakże na obronę tej młodzieży da się powiedzieć, że choć brak jej krzepy, „jaka rozpiera młodzieńców z „Nowej Kultury”, to jednak sprawy kultury jako takiej, i nowej i starej (kilka ładnych wieków), „nie są jej obce”.

Wyłazo sztyld z worka. Napisałem jasno jak na dłoni, kto broni w Polsce kultury i tradycji zdaniem „Poety” z „Tygodnika”.

Naszemu natomiast zdaniem Chrzan udaje tylko naiwniaka. Wie, że ci dla których pisze, ową „autokrytykę” zrozumieją natychmiast jako „zasłone dymną”, na temat zaś tego, co poeta chciał istotnie powiedzieć, wysnują takie wnioski, jakie pragnąłby zapewne, ale jakich nie ma odwagi doświadczyć w swym chytrze zawałowanym wierszydle.

ckm

Pytania do ob. Druszcza

Nakładem wydawnictwa „Prasa Wojskowa” ukazała się książka pt. „Stare i nowe Chiny”. Jest to zbiór artykułów z prasy radzieckiej i francuskiej. Książka jest pożyteczna i ze względu na wielkie zainteresowanie tematyką chińską potrzebna. Tym bardziej przykre jest, że „Prasa Wojskowa” wydała książkę niechlujnie.

Jako redaktor tej pracy zbiorowej podpisany jest ob. Ludwik Druszczyk. Pod jego adresem skierować musimy szereg pytań.

Ostatnio obchodziliśmy 30-lecie Komunistycznej Partii Chin i wiemy, że I Kongres tej partii odbył się w 1921 r. Dlaczego redaktor dopuszcza informację (str. 158), że w 1921 r. odbył się drugi kongres?

Na polski przetłumaczona jest piękna książka znanej autorki chińskiej Tang Ling „Słońce nad rzeką Sang-han”. Dlaczego redaktor o tym nie wie i dlaczego zgadza się na zamianę pani Tang Ling w mężczyznę Din Lima (str. 282)?

Długość Ciang Kai-szeka stał się za zgodą redaktora L. Druszczyka zięciem Sun Jai-sena (str. 160), gdy w rzeczywistości jest jego szwagrem?

Długość oświadczenie „cztery rodziły Chiny” figurują w książce w kilku bardzo odmiennych pisowniach (str. 54, 102 i 169)? Skąd biedny czytelnik ma wiedzieć, że Sun Cy-sien ze str. 54. Sun Cy-wen ze str. 59. Sun Twi-wen ze str. 102 i Song ze str. 169 — to jedna i ta sama osoba?

Długość największy pisarz postępowy Chin nazywa się raz (str. 209) Lu Sing, a kiedy indziej (np. str. 261) Lu Sin?

Długość te same wypowiedzi Mao Tse-tunga przytoczone są w książce w różnych wersjach? Jako przykład wymienimy str. 8 i 194, str. 20 i 44.

W związku z tym wszystkim — pomijamy dziesiątki innych błędów — ostatnie pytanie: na czym polegało redagowanie „Starych i nowych Chin” przez ob. Druszcza? (8)

Gdzie jest nasza ceramika ludowa?

Przed wojną wysyłaliśmy za granicę mnóstwo plakatów, sławiących malowniczość naszego kraju, o wiele mniej pięknych przedmiotów, wytwarzanych przez ludność wiejską, ale za to bardzo wielu chłopów i dziewcząt wiejskich, którzy wyjeżdżali oczywiście nie po to, aby za granicą tkąć polskie tkaniny, czy wypalać ceramikę ludową, tylko do ciężkich robót polnych, czy w kopalniach.

Dziś stosunek ten odwrócił się. Ludzi nie tylko nie wysyłamy, ale wrócić przeciwnie ułatwiamy powrót dawnym emigrantom. Plakatów nie wysyłamy prawie wcale. Jak jest z eksportem wyrobów przemysłu ludowego — nie wiadomo. Nie dlatego, by sprawa należała do rzędu tajnych. Po prostu nie wiadomo, co robi Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego.

Bo pomimo że zagadnienie przemysłu ludowego nie należało do spraw najpierwszej wagi — rząd uważał, że należy uczynić wszystko, by otoczyć opieką wytwórców, zorganizować im zbyt, ułatwić produkcję, słowem wszystko, co jest potrzebne do podtrzymania tej gałęzi twórczości. I dlatego chyba powołano do życia Centralę Przemysłu Ludowego i Artystycznego, której sklepy widać w całym kraju. Ba, w samej tylko Warszawie, na jednej ulicy jest ich aż 5!



Pomimo że za granicą nie ma dziś plakatów „Pologne, pays pittoresque” polski przemysł ludowy jest znany za granicą. Oczywiście jest również rzecz, że przyjeźdźni z zagranicy interesują się naszym przemysłem ludowym, jako najbardziej charakterystycznym, najbardziej dla nich egzotycznym. Stąd w konsekwencji słuszny zwyczaj, że na wszystkich kongresach międzynarodowych znajdują się stoiska CPL i A.

Zgodnie z tym zwyczajem Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego urządziła jedną z sal w gmachu Politechniki z okazji Kongresu Nauki Polskiej. W szeregu gablot wystawiono tkaniny i hafty, ceramikę a nawet wyroby srebrne (czyżby polska specjalność?). W czasie trwania kongresu sprzedawano nie było, normalnym więc z kolci zjawiskiem było to, że po kongresie goście zwiedzający miasto wstępowały do sklepów CPL i A, zakupując różne drobniaczki. Oczywiście nie wchodzili do sklepu po Leszczyńskim na Nowym Świecie, gdzie można kupić obuwie i galanterię skórzaną, która nie jest najbardziej charakterystycznym produktem przemysłu ludowego polskiego. Goście szukali raczej ceramiki ludowej, haftów, krajków i innych podobnych rzeczy.

Jeden z gości Francuzów interesował się szczególnie ceramiką i przyszedł do tłumacza do sklepu, prosząc o pokazanie mu ceramiki iłżeckiej. Ekspedientka odpowiedziała, że niestety zabrakło. A siwaki? — Również — padła odpowiedź. — To dziwne — powiada cudzoziemiec — gdy byłem tu 4 miesiące temu, to też chwilowo brakowało ceramiki iłżeckiej.

Znajomość ceramiki iłżeckiej nie należy do rzadkości. O rzeźbiarzach — samorodnych talentach z ilży, pisało u nas wiele, podając również fotografie ich pięknych wyrobów. Gość był prawdopodobnie etnografem, albo historykiem sztuki, co — zważywszy „gatunek” odwiedzających nas cudzoziemców — nie powinno nikogo dziwić.

Otóż można by rzeczywiście pomyśleć, że w ilży zabrakło gliny, albo że garncarze strajkują. Tymczasem jeden z plastyków, opiekujący się w zamian Ministerstwa Kultury

i Sztuki ośrodkami przemysłu ludowego, wyznał mi, że wszystkie ośrodki produkcyjne, wszystkie spółdzielnie są zawałone gotowymi wyrobami, że magazyny mają pełne, tylko Centrala Przemysłu Ludowego nie odbiera tej produkcji miesiacami.

CPL i A stara się czynić honoru w czasie zjazdów międzyrodzowych, a nie pamięta o zaopatrzeniu sklepów.

Czy instytucja ta uważa rzeczywiście, że można machnąć ręką na iłżeckich garncarzy, kurpiowskich hafciarki i inne ośrodki przemysłu ludowego? Czy zdaje sobie sprawę ze strat, jakie wyrządza swoim postępowaniem? I to właśnie w okresie, kiedy staramy się nawiązać do naszych tradycji ludowych?

„Demokracy” u siebie w domu

Demokratyczny senator Humphrey wygłosił w senacie amerykańskim przemówienie, w którym napomknął na politykę dyskryminacji rasowej rządu amerykańskiego wobec ciemnoskórych Amerykanów. Podkreślił, że ludzie ci nienawidzą na skutek prześladowań, którym doznają, Stanów Zjednoczonych. Nikczemne postępowanie amerykańskich, powiedział mowa, naraża na poniżenie obcych dyplomatów, a nawet przedstawicieli Organizacji Narodów Zjednoczonych. Reprezentanci państw wschodnich napotykały na trudności przy najomowaniu mieszkań w Nowym Jorku i doznają szykan w restauracjach, kinoteatrach i teatrach. Humphrey domagał się uchwalenia projektu ustawy, gwarantującej wszystkim pełnię praw obywatelskich. Projekt ten został jednak odrzucony. Obie partie znalazły szybko wspólny język tam, gdzie idzie o dyktando na utrącenie projektu Trumana bez zająknięcia deklamować misję, jaką Stany Zjednoczone mają do spełnienia w zakresie „obrony ludzkiej godności i zachowania kultury”. Ale nie u siebie w domu. Ten towar Amerykanie przeznaczają na eksport.

Agonia Krakowa

Katolicki „Salzburger Volksbote” umieścił artykuł pt. „Agonia Krakowa”. Oto co pisze austriackie smo:

„Nowa Huta, miasto, które buduje się pod Krakowem, oznacza narodziny nowego świata; są godne podziwu narodziny miast, liczące sto tysięcy mieszkańców, hołdujących bolszewickiej wierze. W ciągu sześciu lat wyszło z ziemi kombinat przemysłowy o takich rozmiarach, że w świecie zachodniej organizacja produkcji bląknęła w porównaniu z tym rozmachem. Pomiedzy Krakowem a Nową Hutą ciągnie się jeszcze na przestrzeni sześciu kilometrów pustkowia, ale w miasteczku wyrastają tu bardzo szybko i należy liczyć, że do roku powstanie tu 30.000 nowych



domów mieszkalnych, z których każdy da komieszczenie sześciu rodzinom.”

Przezieramy oczy. Dlaczego „Agonia Krakowa”? O samym Krakowie „Salzburger Volksbote” pisze w perlatywach. A może katolickie prasa dostrzegła objawy prześladowania religijnego w tym mieście? Proszę posłuchać:

„Wśród rannej ciszy Krakowa rozlega się bicie dzwonów w kościołach i waskimi ulicami śpieszą zakonnicy i zakonnice poranne nabożeństwo. Potem ludzki gęstnieje; niejedna idzie po drodze do pracy, kłosa przedśionku świątyni, którą ja”.

W całym artykule nie ma ani jednego słowa, które by pozwała wnioskować o „agonii” Krakowa. Po prostu autor chciał nagiąć wymowę faktów okazała się słaba. Poza tym „Salzburger Volksbote” wychodzi w amerykańskiej strefie Austrii. Więc niech na jego wypadek będzie „Agonia Krakowa”.

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 14, I ptr., tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji ul. Wiejska 12, tel. 4-01-80... 90

Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch” Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—, kwartalnie zł 9.—, półrocznie zł 18.—, rocznie zł 36.—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16; powyżej 10 egzemplarzy — ul. Chmielna 25. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa Poznańska 38, konto PKO I-5589/110, tel. 7-38-05.

Zakłady Drukarskie i Wkłostodrukowe RSW „Prasa” Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5.